
henryk adler
/neszer/
arjela i jubal
palestyńskie opowieści romantyczne
WW

Arjela i Jubal

Okładka Wilhelma Wachtla

Kompozycja liter Loevita

HENRYK ADLER
(Neszer)

Arjela i Jubal

Palestyńskie Opowieści Romantyczne

WARSZAWA 1931

WYDAWNICTWO „NOWY WSCHÓD"

Skład: „Zjednoczeni Drukarze", Warszawa, Elektoralna 15.
Druk: „B R I S T O L" Warszawa, Elektoralna 31.

*

* *

Większość opowieści, tworzących tę książkę, powstała w latach 1920—1924. Autora dzieli od nich dystans długich lat, przeżytych w Europie. Szereg natomiast fragmentów powieści „Lew Arjeli", znajdującej się właśnie na warsztacie, które są tematycznie związane z książką „Arjela i Jubal", — to owoc już retrospektywnego ustosunkowania się autora do przeżytej przez się bezpośrednio rzeczywistości palestyńskiej. Pierwsze były pisane w chwilach wolnych od pracy pionierskiej lub w okresach rekonwalescencji pomalarycznej—drugie w Europie, coprawda również tylko w chwilach wolnych od niemniej żmudnej, ale stanowczo mniej twórczej, gorączkowej (febrycznej!) pracy dziennikarskiej.

Ostatnie te rzeczy są bezsprzecznie bardziej dojrzałe, autor mógłby się śmielej pod nie podpisać— niemniej uznał on za stosowne w niezmienionej formie i treści przeoblec w słowa drukowane główny trzon palestyńskich opowieści romantycznych. I to może właśnie dlatego, by pozostały romantyczne!

Z tych względów włączył autor w całość opowieść p. t. „Zbójcy Palestyńscy", pisaną dla dzieci z myślą o starszych.

Henryk Adler-Neszer

Warszawa, w styczniu 1931 r.

Jubal

Jubal nie przywiązywał wielkiej wagi do swych wierszy. Na prawdziwie ważką i wielce piękną poezję zdobywają się najczęściej wielkie i zdobywcze duchy, które zamieszkały w słabych i brzydkich ciałach. Człowiek, który sam nie posiadł piękna, stara się otoczyć auerolą przez się wytworzonych pięknych dzieł. W ten sposób uzupełnia niematerjalnem pięknem luki swej fizjologicznej budowy. Dzięki takiemu boskiemu darowi ducha zamienia człowiek swą największą słabość na siłę, swą najbardziej tragiczną niedolę na szczęście.

Piękno Jubala rozmieściło się w jego harmonijnie zbudowanych członkach, w jego wysokiej postawie, muskularnem ciele, szerokiej klatce piersiowej, pięknej głowie o śniadej, lekko wydłużonej twarzy, której ostre rysy, wysokie czoło i zdobywczy wzrok świadczyły o niezwykłej pewności siebie, — piękna zaś czarna, w górę czesana czupryna, tworzyła

wraz z całem ciałem jego coś artystycznie skończonego, coś zupełnego — to, co Grek przeniósłszy w dziedzinę piękna słowa, określił pojęciem poezja, mającem w swem źródłosłowiu „pojejn“ (czynić, tworzyć).

Jubal pisał również poezje, nie ograniczał się jednak na wierszach, pisanych, a później deklamowanych, ani też na pieśniach śpiewanych smętnie, czy wesoło. Za poezję uważał swą codzienną pracę ogrodnika, — poezją były jego rozmowy z przyjaciółmi czy z kochanką, przemowy na zebraniach ogrodników, chwile obcowania z książką, czy z organem swego zawodu, zimna kąpiel po całodziennej pracy, chwile wypoczynku w artystycznie prosto urządzonym pokoiku.

Jubalowe wiersze były więc tylko stenogramami jego życia, a że nie pisał chętnie, co za szkoda, że mu jakaś władza, której przeznaczeniem byłaby dbałość o zachowanie wszystkich wartości ducha — nie wyznaczyła oficjalnego stenografa.

Dla Jubala nie istniał wcale tragizm życiowy. Raz np. opowiedział mi następujący wypadek, a twarz jego wyrażała niezwykły zachwyt: pomyśl, mój kochany, Jafa, ta mo-

ja najdroższa dziewczyna, całowała, wczoraj Adoniela, a nad ranem widziałem ją wychodzącą z jego pokoju — nie wyobrażam sobie czegoś bardziej artystycznego, czegoś bardziej boskiego, niż te dwa ciała razem spojone w miłosnym uścisku.

Słuchajno, mój młodzieńcze — zapytałem go — czy nie znasz ty przypadkowo takiego pojęcia jak zazdrość?

— O tak, coś takiego mógłbym przeżyć, gdyby się Jafa oddała komuś brzydszemu, komuś mniej wartościowemu, niż ja. Każdemu przysługuje prawo do piękna.

— A gdyby Jafa zaofiarowała swe ciało jakiemuś trędowatemu żebrakowi arabskiemu?

— O wtedy ukląkłbym przed nią pełen szacunku tu oto na rynku jerozolimskim....

Pomyślałem, że to co mi Jubal w tej chwili ze swego życia wyjawił, jest przecież bardzo pięknym, oryginalnym poematem; że taki sposób myślenia cechuje napewno kwiaty, może nawet cały świat roślinny, w rzadkich wypadkach szlachetniejsze odmiany zwierząt — nigdy natomiast ludzi.

Jedynemi istotami, nad któremi się Jubal

litował, byli bogaci mieszczanie, tłuści kupcy, t. zw. „boasi"*), burżuje czy filistrzy. Współczuwał z jednostajnością ich życia, pozbawionego głębszych niepokojów, z pewnością ich materjalnych warunków; żal mu było tych ludzi skazanych na bezgraniczną nudę. Nad tymi oto ludźmi — mówił Jubal — życie się najbardziej zemściło: oddało w ich przechowanie całą swą prozę, pozbawiając ich zarazem wszelkiej swej poezji. Jubal nie mógł wobec tego rozumieć takich pojęć, jak nędza proletarjatu, socjalizm, niedola ludzi pracujących.

— Czy możesz sobie wyobrazić człowieka szczęśliwszego — zwykł był do mnie mówić — niż szewc, dla którego każdy pięknie wykończony bucik jest poematem, który nie traktuje swej pracy jako coś koniecznego, ale jako coś, co jest dlań twórczością. Czyż istnieje większe błogosławieństwo, jak to, że człowiek musi pracować. A cóż dodaje życiu więcej uroku niż ta niepewność, ciągła rywalizacja, rączy pęd ku wyżynom, walka o byt! Jakżeby to było nudne, gdyby się ludzkość

*) Od imienia Boasa z sielanki „Rut".

pewnego dnia ich wyrzekła, ustanawiając prawa, regulując ten twórczy chaos.

Patrząc w ten sposób na życie, Jubal nie uznawał walk klasowych, nie istniały dla niego problemy socjalne. Nie współczuwał z upośledzonymi fizycznie, gdyż zdawał sobie sprawę, ile ci ludzie mogą zrobić dla ducha, będąc tak mało absorbowani przez swe ciało. Ślepy był dla niego o tyle bardziej uposażonym od normalnego człowieka, że mógł patrzeć na świat i mieć tę dziwną satysfakcję, że widzi go bez oczu, głuchy zaś, iż wsłuchuje się w życiowy hałas bez uszu...

Wszystkie te poglądy mogą się komuś trzeźwo patrzącemu wydawać absurdem, dla Jubala były one najbardziej realną wartością jego myśli i uczuć — wszak były to niespisane poematy!

Sposób wyrażania się Jubala był bardzo oryginalny. Mówił np.: „skąpstwo wydaje mi się rzeczą nieestetyczną“; „dlaczego mnie okłamujesz, moja droga, wszak byłoby o wiele piękniej, gdybyś mi opowiedziała całą, bolesną prawdę“.

Gdy go ktoś skrzywdził, Jubal zwykł był mówić: jakiż to słaby i nieszczęśliwy człowiek,

skoro jest zmuszony imać się tak brzydkich środków walki — jakżeż się bardzo nad nim lituję!

Wiem, że wszyscy uważają taki sposób patrzenia na świat i ludzi za naiwny. — Czy istnieje jednak bardziej naiwna twórczość niż poezja, która się pięknemi słowy porywa na żelazne maszyny?

Jubal grał. Ongiś w Europie zapowiadał się na skrzypka — wirtuoza. Tu, idąc na nowe życie, nie wziął ze sobą skrzypiec, gdyż twierdził: życie nasze będzie nowe, zaczynamy prymitywnie, od podstaw, takiemu życiu odpowiada gitara — narzędzie prostej, nieskomplikowanej muzyki.

Gdy przychodziły długie, chmurne dni zimowe, Jubal ruszał na wycieczkę do stóp białego Hermonu. Lubił ze szczytu tej góry, pokrytego wiecznym śniegiem, patrzeć na wielką, niebieską plamę morza Kineret, na galilejskie góry, na okrągłą kopułę Taboru i na daleką Hajfę i Jaffę, przylegające do Morza Śródziemnego.

Gdy ostatnie spadały deszcze, brał się z niezwykłą miłością do swego ogrodniczego dzieła: rozkopywał ziemię, rzeźbił w niej

klomby — malował je kolorowem kwieciem; były wśród nich chryzantemy różnobarwne, liczne gatunki storczyków, róże, piwonje, tulipany i georginje. Mieszał je z polnem kwieciem: więc z bławatkami, niezapominajką i amarantowym rodzajem maku polnego zwanego w Palestynie „krwią Makabeuszy“. Gdzieniegdzie widać było siostrzane, aksamitne bratki, które na pamiątkę biblijnej miłości brata i siostry zwano „Amnon i Tamar“. W gorące upalne dni miesiąca Tamus napajał swe kwiaty wodą z pobliskiej cysterny. W pracy tej pomagała mu ogrodniczka Tamara, Żydówka-szpaniolka, o piękności jakiejś prawdziwej hiszpańskiej Speranzy, z którą Jubal przeżywał noce wśród kwiatów, odurzając się ich balsamiczną wonią i boskim zapachem ciała pięknej kobiety.

Największym wrogiem ogrodnika jest skorpjon, zwany tu „akrabem“, a śmiertelne są ukłucia samicy akraba — skorpjona akrabuta. Jubal podziwiał to znienawidzone przez podzwrotnikowego mieszkańca stworzenie. Nie zabijał jednak skropionów według przy-

jętego zwyczaju, usuwał je tylko, by mu nie przeszkadzały w pracy. Jubala zaciekawiło nadzwyczaj silne przywiązanie tych zwierzątek do życia i wolności. Pewnego razu obserwował walkę dwóch skorpjonów — jeden z walczących został mocno poturbowany przez przeciwnika, tak że Jubal wkońcu odpędził zwycięzcę, chcącego się nadal mścić nad ofiarą. Ale wówczas nastąpił moment najciekawszy i najbardziej tragiczny: ranny skorpjon postanowił się pozbawić życia i zgiąwszy w kabłąk ogon, tak, że przylgnął do grzbietu, wpił się kilkakrotnie w swe ciało żądłem, umieszczonem na końcu ogona. Wyginał się w boleściach wśród takiego stopniowego otruwania organizmu, aż wreszcie, po kilku samobójczych ciosach — życie zakończył.

O oryginalnym sposobie popełniania samobójstwa przez akrabów opowiedział mi Jubal, dodając:

— Uważam, iż czekanie na śmierć jest bardzo nudne, co za szkoda, iż nie mamy takiego jadu w sobie, którym byśmy się mogli w pewnej chwili uśmiercić — uważam bowiem innego rodzaju samobójstwo za niełady.

Odpowiedziałem Jubalowi: Bywa, że na-

tura przychodzi nam z pomocą, darząc nas szczęśliwą możliwością poznania „rozkoszy" ukąszenia akrabuta.

Pewnego poranka obudził nagle Jubala straszny krzyk Tamary. Porwał się z łoża, a oczom jego przedstawił się przerażający widok. Oto w nagą pierś, leżącej przy nim dziewczyny, wpiła swe jadowite zęby żmija. Najwidoczniej wypełzła wśród nocy ze szczeliny pobliskiej skały. Oszołomiona Tamara patrzyła przed się osłupiałym wzrokiem, a ręce jej, jakby zdrętwiałe z przestrachu, nie ważyły się podnieść, by odpędzić węża, który swój wąski okrągły tułów oparł na jej nagiem ciele, a głową przylgnął do jej białej, twardej piersi. Jubal uchwycił w mgnieniu oka dłońmi górną i dolną szczękę żmiji, oderwał ją od piersi szpaniolki i dzierżąc łeb węża silnie w dłoni, uderzył nim kilkakrotnie o pobliski żelazny płot.

Zmiażdżone ciało odrzucił ze wstrętem. W międzyczasie jedna z robotnic owinęła pierś Tamary w pobliżu ukąszonego miejsca. Przybyła sanitarjuszka i zrobiła odpowiedni

opatrunek. Ukąszenie nie było groźne i Tamara wróciła po kilku dniach do pracy. Na Jubala wypadek ten zrobił bardzo silne wrażenie. Po raz pierwszy zetknął się on bezpośrednio z przyrodą, pchaną do walki siłą bezmyślnego instynktu, po raz pierwszy wypadek taki dotknął bliskiej mu osoby — pierwszy raz w życiu został doprowadzony do takiego zapomnienia się, że dokonał „zabójstwa“ miażdżąc ciało żmiji swemi dłońmi. Było to dlań bardzo bolesne doświadczenie.

W tydzień po tem zdarzeniu, zaszła potrzeba oczyszczenia części ogrodu, zasianej wielkimi kamieniami. Jubal wstał wczesnym rankiem i wziął się do pracy. Szybko usuwał kamień po kamieniu, przypatrując się wynurzającemu się z morza słońca. Wtem poczuł gwałtowny ból w ręku, przechodził on do kości, wiercił szpik, przedostawał się do mózgownicy — zdawał się rwać wszystkie tkanki — przekraczał wszystkie pojęcia o bólu. Z ust Jubala wydobył się wykrzyk: Tamara! Tamara! Gdy szpaniolka zbliżyła się do miejsca pracy swego pana, widziała Jubala leżą-

cego na ziemi, przy nim odrzucony kamień, tuż przy jego ciele pełzał wielki żółty „akrabut“, a na dłoni Jubala widniała mała czerwona plamka. Jubal trząsł się cały z boleści. Jeden z robotników pobiegł po lekarza. Lekarz skonstatował śmiertelne ukąszenie przez „akrabuta“. Wszelka pomoc była bezskuteczna. Po kilku godzinach Jubal wyzionął ducha.

Nikt nie wiedział, czy była to już chwila, w której Jubal chciał zaprzestać żyć — przypadkową była jego śmierć, przypadkową jak natchnienie, przypadkową jak wszystko wielkie, co na świecie powstaje niezależnie od naszej woli — przypadkową jak życie Jubala, które było poezją, przypadkową jak sama poezja.

Arjela

Rachel Ziwanit*), żona młodego robotnika w kwucy K. — powiła dziecię. Powracającemu z pola Ziwowi doniesiono radosną nowinę. Po kilku minutach znalazł się dumny ojciec w pokoju młodej matki. Wpatrzony w słoneczną twarz małego aniołka — Ziw przypomina sobie jedną z najpiękniejszych chwil swego życia: Cudna, księżycowa noc, kiedy to błękitna tafla Kineret'u łączy się z lazurowem niebem, tworząc jedno potężne harmonijne półkole, a gwiazdy i księżyc błyszczą w wodzie i na niebiosach. Namiętne, robotnicze pieśni i tańce, napełniają wówczas serce pracownika nową życiową siłą; pełnia przeżyć rozsadza piersi. A później Rachel — lekkie dotknięcie kochanej dłoni, miłosne, szczere słowa oddanej dziewczyny, jej letni namiot nad brzegiem Kineret'u i ich wiosenna, ślubna noc.

Odtąd była mu żoną. — Arjela nazwali oni

---

*) „Z" należy wymawiać twardo pomimo następującego „i".

swą córeczkę, a zrodziły ją: Kineret, Niebo i Słońce galilejskie.

Późno w nocy opowiada Elchanan grupie otaczających go robotników w kwucy K. niektóre głębsze wrażenia z czasu swego „szomrowania“ ubiegłej wiosny.

— Ucichły pieśni — zaczyna — wszystko rozeszło się do swych pokojów. Później przez dłuższy czas cisza... Nagle z piętra dochodzą mnie urywane słowa budzącego się Jakowa— głos jego zrazu cichy przechodzi w krzyk. Wiedziałem na co się zanosi i pobiegłem do jego pokoju. W histerycznej ekstazie potrząsał swem łóżkiem, rzucał się, ciskał urywane słowa i myśli, a twarz jego, cała jego postać potargana koszula — tworzyły niesamowity widok.

— Ja chcę być człowiekiem, człowiekiem młodym! — krzyczał — wolnym, wiosną, pieśnią, całym! Tak, Tak, Tak! Jigal! — Z drugiego pokoju doszły mnie jęki — przyjaciela Jakowa — „szomernika“ Jawala.—

— Teraz byłem już pewny, że mam przed sobą jedną z tych strasznych nocy, kiedy to

histerja i szał wiszą w powietrzu. Poprzedzają je jak zwykle wzniosłe chwile tańca, śpiewów i pieśni. Z pokoju dziewcząt dochodził mnie lament i w deklamatorskim tonie wykrzykiwane słowa „starej“ Leji... Nie mogłem dłużej wytrwać, zawołałem naszą „choweszet“*) i uciekłem do namiotów nad Kineretem. Przechodziłem obok każdego — nadsłuchiwałem, czy śpią spokojnie — —

Wszędzie cisza...

Przy namiocie Racheli zatrzymał mnie jakiś dźwięczny szept — wyczułem głos Ziwa. Tuliły się do siebie dwa zdrowe, czyste ciała. Była to ich poślubna noc.

Natychmiast odeszłem — „To święte... nie wolno!“

Ale Arjela będzie zdrową i słoneczną dziewczyną! — co „chewra“?**)

---

*) Sanitarjuszka.

**) Towarzystwo.

Jecheskiejl
Nissanow-
Bratobójstwo

Był najdzielniejszym z pośród dzielnych. Bali się go fellachowie arabscy — cenili jego męstwo beduini. Zdarzyło się, że wpadł raz samotny w ręce uzbrojonej bandy beduińskiej. Nie zabili Jecheskiejla, choć był sam, a ich dziesiątki — coś takiego może rycerski beduin zrobić z handlarzem żydowskim, tchórzliwym „wlad'almawet" z Cwat lub Meja-Szearim w Jerozolimie. Nie rozebrali go również do naga, zostawiając „giaura" w adamowym stroju, jak to należy uczynić, skoro Allah nadarza wiernym sposobność napotkania ładnie ubranego obcego na rozdrożach. Takie święte przykazanie proroka można spełnić wobec pierwszego lepszego „moskobi" czy też nawet wobec elegancko odzianego „anglizi", zwłaszcza gdyby zewnętrznie przypominał Lorda Farfura*)... Z wrogim rycerzem należy się obejść po rycersku: pozbawić go zbroi i konia i puścić samopas w dalszą drogę.

*) Lord Balfour.

Czy istnieje bowiem dobitniejszy akt zemsty na szomrze jak odebranie mu karabinu i ukochanego rumaka?

Sąsiedcy Arabowie nazywali Nissanowa szejkiem żydowskim — lubują się oni bowiem w takiem przybliżaniu obcych hierarchij do swych pojęć: b. namiestnik Palestyny, Żyd Herbert Samuel nazywał się w ich języku zawsze „sułtan jahudi", w najuczciwszej formie otrzymany podarunek uchodzi za „bakszysz" (łapówka). Niema rzeczy, którejby idąc po tej linji nie mogli zrozumieć. Oto — dla przykładu — jak bogaty fellach tłómaczy swemu synowi znaczenie statui Apollina, którą zobaczyli w wystawie jednego ze sklepów Tel-Awiwu: jest to uczciwy fellach, którego jakaś szajka draniów beduińskich ograbiła, rozebrała do naga, zarzucając mu przez ramię kawał pomiętego płótna, by nie gorszyć oczu proroka...

Jecheskiejl nosił strój arabski. Głowa jego była owinięta białą, atłasową kefiją, spiętą czarnemi krążkami, okalającemi czoło; na ramionach miał przerzucony czarny burnus, z pod pasa wyglądała rękojeść zagiętego sztyletu w pochwie z perłowej masy — nogi przy-

odziane w wysokie buty, zawieszone lekko na szerokich strzemionach uprzęży „araba“ z którym postać jego zdawała się być zrośniętą. Pochodził z Kaukazu — wschodnie rysy jego twarzy harmonizowały zupełnie ze strojem, był synem góralskiego szczepu żydowskiego, który w liczbie dziesięciu tysięcy zamieszkuje kaukaskie góry — stąd wrodzone męstwo i szalona odwaga.

Brać szomrowa otaczała go czcią. W czasie posuszy, w miesiącach Elul, Aw i Tamuz, gdy beduini transjordańscy rozbijali swe namioty w Emek, obfitujący w źrenice wodne, niejedna czarnooka beduinka darzyła zalotnem spojrzeniem Jecheskiejla. Przy zródle „Ejn-Tabun“ stawał wieczorami ten „szejk jehudi“ i pomagał żonom arabskich pastuchów w ładowaniu tykiew, napełnionych wodą, na małe osiołki. One przyjmowały tę pomoc wśród dzikich chichotów — była im bowiem obca ta rycerskość szejka-mężczyzny, który uniża się do pomagania kobietom w pracy. Wszystkie zazdrościły w tajni swego serca jego żonom, każda z nich opuściłaby chętnie szałas męża, by móc chociażby jedną noc przespać w namiocie Jecheskiejla. W Nis-

sanowie nie budziły te czarne owieczki żadnych pragnień... Lubił coprawda patrzeć na ich głupiutkie twarze, na ruchliwe ciała tych smukłych kobiet, na zręczny chód każdej z nich, noszącej na głowie, owiniętej chustką, skośnie ustawiony dzban pełen wody. Oburzało to postępowanie szomra beduinów, właścicieli tych żon, ale dziarski wygląd Nissanowa, jego dzielna postawa, kazały im unikać zaczepki z szejkiem żydowskim.

Pewnego wieczora, gdy Jecheskiejl Nissanow według swego zwyczaju stanął przy źródle „Ejn-Tabun", przywitały go nagle okrzyki dziesiątków kobiet:

— „Ruch min hon!, ruch! ruch!" — Idź stąd, idź, piękny księciu żydowski! Bił mnie tej nocy mąż dlatego, że wczoraj topiłam me oczy w twej ślicznej postaci — wołała jedna.

— A do mnie za karę, żem raz na ciebie popatrzyła, już od tygodnia nie przychodzi, a kto zaspokoi pragnienia mej krwi — wołała druga.

— Nie będę rodziła dzieci, zostanę pośmiewiskiem naszej wioski — bo już od ostatniego nowiu nie przekroczył mój pan progów mego szałasu i ciągle tylko przebywa u tej brzyd-

kiej jędzy Hajfy — dlatego, żem raz rzuciła okiem na ciebie — wrzeszczała inna.

Tak mścili się beduini na swych żonach, które się wdawały w niedozwolony flirt z szomrem. Nie mogąc odpłacić Jecheskiejlowi za swój samczy ból, wylewali całą gorycz na swe ślubne niewolnice.

Te okrzyki beduinek podziałały na Jecheskiejla jakby lekki wyrzut sumienia. Nie powinien był tego robić, chociaż nie miał wobec nich żadnych grzesznych zamiarów. Teraz dopiero stawały mu się zrozumiałe ogniste spojrzenia beduinów, które nań padały, ilekroć spotkał się z którymś przy zródle. W skurczonych tych twarzach malował się nieraz ból — drażniony instynkt burzył się. Nissanow znał moc tego instynktu, żył on wszak i w jego sercu w formie bardziej uszlachetnionej, jako miłość.

Jecheskiejl kochał. Gdzieś daleko od jego osiedla, w jednej z grup górno-galilejskich pracowała ukochana przezeń Tabora. Była jego żoną. Postanowili nie mieszkać razem — bali się bardzo, by uczucia ich nie spowsze-

dniały, by miłość nie stała się chlebem codziennym. Będąc zdala jedno od drugiego, mogli ciągle nosić na sobie świąteczną szatę wielkiej miłości.

Nadarzała się im dość często sposobność widywania się. Bywało nieraz, że Tabora stęskniona, spragniona uścisków ukochanego, po dłuższem niewidzeniu się, opuszczała wśród nocy swą sypialnię, siadała na jednej z pobliskich skał bazaltowych i wpatrując się w dół ku Emek Israejl, natężała słuch, czy zdala nie dochodzi tętent konia. Niejednokrotnie zjawiał się w takich chwilach Jecheskiejl, spędzał kilka godzin z ukochaną, a nad ranem cwałował już na swym „arabie“, zdążając do dolnej Galileji. Na ustach unosił jeszcze wspomnienie gorących pocałunków Tabory, a ciało jego ogrzewało ciepło jej uścisków.

Pewnej nocy wyjawiła mu Tabora, że wkrótce zostanie matką — w kilka miesięcy potem urodziła syna. Jecheskiejl dowiedział się o tem listownie od swej żony — prosiła go zarazem, by jej nie odwiedzał tak długo, dopóki go do siebie nie zawezwie. Nissanow wyczuł znaczenie prośby Tabory...

Brat Jecheskiejla Cwi, zwany przez Arabów Razal, był postrachem okolicznych beduinów. Bracia kochali się bardzo. Jedna tylko dzieliła ich tajemnica, której Razal nie wyjawił nikomu na świecie. Powierzał ją nieraz pamiętnikowi, fujarce na której wygrywał własne kompozycje, gdy jako pasterz spędzał długie noce z trzodą samotny wśród gór. W takich chwilach wyrywał się nieraz z jego ust okrzyk: Tabora! Tabora! Rysowała się przed oczami szomra postać kochanki i żony brata, o wielkich gęstemi brwiami obramowanych, czarnych oczach, o długich, puszystych kędziorach, o smukłem ciele, przyodzianem długą, białą suknią z lekkiego tiulu, która uwydatniała jej jędrne piersi. Cwi Nissanow tulił w takich chwilach swą głowę do ziemi, by zatrzeć obraz kuszącej kobiety, tłumiąc wyrywający się z jego wnętrza dziki okrzyk: Tabora! Tabora! Z lękiem chwytał odgłos echa: Tabora! Tabora! Dął z wszystkich sił w fujarkę — przestraszona trzoda otaczała na znak ten pasterza i wodza — widząc, że nie rusza z niemi w drogę, rozkładały się owce wokół niego: owieczki z pierwszych szeregów kładły swe ciepłe głowy na rozłożo-

ne ciało szomra. Razal zamykał oczy, a otwarte jego nozdrza wchłaniały w siebie ciepłą woń owczego oddechu. Księżyc oświetlał jasną smugą tę czarną plamę wśród gór. Cwi powstawał, wyprężał silne ciało, czuł napływ nowej energji — chwila słabości, tęsknoty i cierpienia była przezwyciężona. Nie miał kochanki, stracona na zawsze jego miłość — pozostawała brać szomrowa, ukochane dzieło, ojczyzna, wyzwalająca się z niewoli wieków i miłość dla tych wszystkich, z którymi go na zawsze skuły wspólna dola i niedola. Jedną z tych wielu była i Tabora.

Raz pędzony szaloną tęsknotą, uciekając przed zmorą utraconej dlań na zawsze miłości, znalazł się w Bejrucie, gdzie postanowił zostać przez tydzień lub dłużej. Pewnego wieczoru, kładąc się do snu, przyglądał znalezioną na stole gazetę arabską. Nagle oczy jego napotkały na wiadomość: „Jecheskiejl Nissanow został zabity w potyczce z beduinami, którzy wypasali trzody w pszenicy żydowskiej“. Stanął jakby osłupiały. W pierwszej chwili: świadomość, że stało się coś strasznego, ale wnet dzika radość, śmiech — znikły przeszkody, ha! ha! Tabora będzie moją! Za-

raz potem jednak szalony gniew na siebie samego, na swój straszny egoizm! Upadł na łóżko, zębami wpił się w poduszkę: jestem zły, nędzny, to ja się o Twoją śmierć modliłem, ja cię zabiłem!! Jam Twej miłości nigdy nie był godzien, Taboro! Bracie mój Jecheskiejlu! Siadł w najbliższy pociąg, a skoro przybył po kilku godzinach do Galileji, dowiedział się, że była wprawdzie potyczka z beduinami, Jecheskiejl walczył jak lew, lecz wyszedł zwycięsko z walki — żyje i jest zdrów. Kaczka dziennikarska była zemstą za poniesioną przez beduinów klęskę.

Zimowa noc palestyńska. Deszcz, chłód i gęsta ciemność. Cwi Nissanow okala na koniu mury osiedla, wsłuchuje się w najdrobniejszy szelest, śledzi każde niespokojne poruszenie się konia. W takie noce czyha na życie szomra sztylet złodzieja arabskiego, ukrytego w krzakach, w takie noce spełniają się akty zemsty krwi, straszne vendetty, zaprzysiężone z pokolenia na pokolenie — czuwanie wśród takiej egipskiej ciemności jest nara-

żaniem się na niechybną śmierć. Po każdym podejrzanym szeleście odzywa się głos szomra:

— Min hada? Min hada? Kto to?

Skoro niema odpowiedzi pada strzał w pobliski krzak — po chwili znów okrzyk:

— Min hada?

Nikt nie odpowiada — szomer rusza dalej.

Nad ranem słyszy Nissanow wyrazny tętent konia. Wśród ciemności zarysowuje się sylwetka jeźdźca. Oburzony woła:

— Endak! Endak! Stój!

Jeździec nie odpowiada, zmierzając w jego kierunku. Razal wykierowuje karabin i oddaje dwa strzały. Koń zmienia kierunek i pędzi, unosząc na sobie podejrzanego jeźdźca. Cwi Nissanow w cwał za nim. Nagle jeździec znika mu z horyzontu. Z dala dochodzi go tylko tętent konia. Razal pędzi tylną dróżką ku domostwu, by zawezwać pomocy Jecheskiejla i braci szomrowej. Spodziewa się większego napadu na kolonję. Zdyszany wpada na dziedziniec. — Gdzie Jecheskiejl? — pyta strażnika. Niema go; przed pół godziną wyruszył konno w drogę — brzmi odpowiedź. Razal alarmuje osiedle. Brać szomrowa zbie-

ra się na podwórzu. Wszystko ładuje broń i siodła konie. Wtem słyszą wyraźny odgłos kopyt. Dochodzą do bramy. Jakiś koń kopie silnie nogami o bramę.

— Min hada?!

— To ja — słyszy się przytłumiony głos Jecheskiejla.

Razal otwiera bramę. Wpadł spieniony rumak Jecheskiejla. Stanąwszy na środku podwórza zrzucił z siebie jeźdźca. Otaczają Jecheskiejla: czoło jego krwawi, trupio-blada twarz, ręką przytrzymuje pierś.

Cwi Nissanow rzuca się do stóp rannego, obejmuje jego głowę, całuje jego usta, a Jecheskiejl szepce mu cicho do ucha: „To tyś mnie zabił, zabiłeś bracie. Smiałem się w odpowiedzi na twoje hasło „min hada“, a ty mnie wziąłeś za beduina. Tyś niewinny!“

I wyzionął ducha.

Razal porywa się jakby dziki i woła ochrypłym głosem: To jam go zabił, bracia! To jam ci go zabił, Tabora!

Wskutek dziwnego zrządzenia losu zabił Cwi Nissanow swego brata Jecheskiejla. Na drugi dzień rozeszła się wieść wśród beduinów: nie żyje już groźny szejk żydowski! Był to dzień smutku i wielkiego żalu dla całego jiszubu żydowskiego.

Romans z Kfar Tabor

Jigal objął straż w Kfar Tabor (Mescha). Z wiatrem rozeszła się wieść o tem wśród sąsiednich Arabów. Jigala poważają nietylko fellachowie dolnej Galilei — lecz z niemniejszym dreszczem poważania i obawy wypowiadają jego nazwisko Beduini transjordańscy — pomni jak przebył wszystkie ich namioty u stóp Golanu — dopóki nie znalazł skradzionego w Milchamiji osła, jak z garstką uzbrojonych „moskobi“ odebrał trzodę owiec w chwili, gdy jeźdźcy beduinscy dotarli z nią do brzegu Jordanu.

Spokojni są mieszkańcy Kfar Taboru — pewnem ich mienie i życie. Droższem niż mienie i życie Kfar Taboru jest dla Jigala cześć i sława braci szomrowej. W chwilach, gdy wsłuchany w najdrobniejszy szelest, przerywający ciszę nocy letniej, okrąża mury kolonji— rozpiera piersi jego duma syna skarłowaciałego rodu — co pierwszy zrzucił garb, wyprostował plecy, piersi wypiął naprzód i ważył się stanąć w obronie swego „ja“: swej

duszy i ciała w niewolnictwie spodlonego. Wszystko w nim w tej chwili czyste, elementarne — on pełen jakiegoś kosmicznego szczęścia: harmonja siły i natury.

Nad ranem, gdy pierwsze zapieją koguty, a rolnicy budzą się do pracy — Jigal wspina się na szczyt Taboru — zna on tu każdą drożynę górską, każdą ścieżkę, znani są mu również mieszkańcy Taboru.

— — — — — — —

Na szczycie Taboru znajduje się klasztor mniszek greckich. Blade, pełne klasycznej piękności są twarze Greczynek. Najpiękniejszą z pośród młodych mniszek jest siostra Kaliotrix.

Po raz pierwszy ujrzał ją Jigal, gdy z grupą studentów gimnazjum jaffajskiego, którym służył za przewodnika — odwiedził klasztor grecki. Serdecznie przyjęła gości siostra-przeorysza, a Kaliotrix oprowadzała ich po ogrodzie, wskazując poszczególne krzewy, które przewiezione przez nią z Grecji tak ładnie się przyjęły w klimacie palestyńskim. A gdy oczy jej spotkały się ze wzrokiem Jigala, wówczas

zarumieniła się poraz pierwszy blada twarz siostry Kaliotrix.

Odtąd kiedy na koniu pędzi obok klasztoru, rzuca wzrokiem do ogrodu: następuje jakieś przeciągłe spotkanie się oczu, jakiś błysk, później w cwał... dalej, dalej stacza się po stokach Taboru i zmęczony, pełen jakiejś niewysłowionej tęsknoty, jakiegoś nieznanego bólu przybywa do Meschy. Zmęczony gonitwą zasypia prędko. We śnie widzi Tabor, klasztor, grupę uzbrojonych Beduinów, napad, wystrzały, walkę, krew, a nad wszystkiem góruje blada, dziewicza twarz Kaliotrix, wpatrzona weń czystym, kochającym wzrokiem.

Szczęśliwy jest Jigal, gdy nadarzy mu się jakaś grupa turystów, chętnie prowadzi ich na szczyt Taboru, oprowadza po klasztorach, a w pierwszym rzędzie odwiedza z nimi klasztor mniszek greckich

— — — — — — —

Nieraz, gdy Jigal późną nocą spokojnie objeżdża kolonję, gdy cisza wokoło nie przerywa ani na chwilę biegu myśli, — jakieś tęskne wspomnienie, jakiś wzniosły ból wy-

dobywają z piersi „szomra“, ciche, bolesne westchnienie. Wówczas spogląda namiętnym wzrokiem ku szczytowi Taboru. A całe wnętrze jego burzy się; jemu obcy ból, on może inaczej, takie cierpienie to słabe, niewolnicze — nie, nie, on nie chce!

I zda ci się w tej chwili, że popędzi rumaka, cwałem dosięgnie szczytu Taboru, porwie ją i z wiatrem uniesie hen — w dal za Golan, lub na stoki Hauranu... Lecz życie „szomra“ jest peanem Miłości i Burzy, a pieśń Burzy i Miłości jest silniejszą nad wszystkie burze i burzliwszą nad wszystkie przeżycia.

— — — — — — —

Grupa „cofim“ z Haify przybyła do Meschy. Kierownik zwrócił się do Jigala z prośbą, by im służył za przewodnika na Tabor. Jigal odmówił.

— — — — — — —

W jednym z obozów „nowych“[1]) spotkałem Jigala. Pracuje jako „eglon“[2]). Wojna zmusiła go do opuszczenia placówki. Osiadł

1) Tak nazywają starzy robotnicy chaluców.

2) Woźnica.

na ziemi Keren Kajemet poślubił córkę kolonisty, która porzuciła ojca i poszła z szomrem na tułaczkę. Lata wojenne przepracował na roli; gdy jednak „nowi“ zawitali do kraju i obozy ich stanęły na skraju dróg w Jigalu ocknęła dusza „szomra“ i poszedł...

Porzucił ziemię, dom, stajnię, cały ten ukochany kącik, który zastał pustkowiem, pokrytem kamieniami i zarośniętem kolczastemi „sidraot“*), a pozostawił piękną oazą. Tegoż roku winnica pierwsze dała owoce, za rok pomarańcza i cytryna soczystym zazłocą darem, oliwka silnie zapuściła korzenie na skalistym gruncie, a obok domu zazielenił się cienisty gaik eukaliptusowy. Lecz to nie zdoła Jigala zatrzymać. Przyjdzie jakiś inny, zmęczony tułaczką brat-pracownik, osiędzie na tej ziemi i będzie czerpał owoce jego pracy, -- boć wspólną jest męka, wspólny pot i dokonane dzieło żydowskiego pioniera.

Jigal kocha „nowych“, kocha ich życie tułacze, życie w namiotach.

Amjehud, syn Jigala jest moim przyjacielem; w żyłach jego płynie burzliwa krew

*) Dziko rosnące krzaki.

ojca. Sześcioletni dzieciak pędzi śmiało na ojcowskim koniu, jest żwawym i patrzy bystro na świat i życie. Ma swój specjalny „światopogląd“ (muszę tu zaznaczyć, że chętnie posługuję się wyrażeniami jak: światopogląd, kwestja i t. d.). Nienawidzi wogóle szkoły, dlatego, że przyjaciele jego z Jabniel, uczniowie tamtejszej szkoły są skończonymi „batłanami“. Zresztą, jeśli mowa o nauce, to jedyną szkołą wzorową, w jego pojęciu, jest szkoła z Tel-Adas, obecnie przenieśli się do Kfar Gileadi, są to synowie „szomrów“ i on jako syn szomra chce się z nimi razem uczyć. Jigal zgodził się na to i Amjehud wkrótce opuści rodziców i pojedzie do szkółki w Kfar Gileadi.

Należy dodać, że Am-jehud jest zdecydowanym „antyfeministą“, a specjalnie lekceważy swą młodszą siostrzyczkę Djankę;[1]) nazywa ją małą laleczką (buba) i przepowiada ojcu, że ona zechce być „księżną“, a robotnicą napewno nie zostanie. Gdy mu pewnego razu oświadczyłem, że Djanka jest piękną dziew-

1) Zdrobniałe od Dina.

czynką (czemu się „zasadniczo“ sprzeciwia) zerwał ze mną od tej chwili „wszelkie stosunki“. Po kilku dniach wyjechał do Kfar Gileadi.

— — — — — — —

Małej Djance zawdzięczam mą opowieść o Jigalu. Gdym pewnego razu, patrząc w jej piękną twarzyczkę, powiedział Jigalowi, że ma klasycznie greckie rysy, Jigal popatrzył mi głęboko w oczy, uścisnął moją dłoń i przyobiecał mi opowiedzieć swój „romans“ z Kfar Tabor.

Pieśń Burzy i Miłości

Elchanan kochał Rachelę. Rachel była mu Pieśnią jego. Nieraz płochą, skaczącą, napełniającą radością wszystko wokoło, nieraz zamyśloną, rozmarzoną, pełną czaru palestyńskiej nocy księżycowej, nieraz smutną i smętną, jak melodja pieśni arabskiego pastucha, zagłuszana przejmującym jękiem hjen.

Ziw był dziki i pełen żywiołowej namiętności, jak rwące się fale Kineret w chwilach, gdy zapowiadają burzę i ulewę.

Dla Elchanana był on personifikacją Burzy i elementarnej Siły — był burzą jego Pieśni.

Rachel kochała Ziwa, Elchanan kochał ich obydwóch. Oni trzej byli Pieśnią nowego tworzącego się Życia.

Arjela była dzieckiem tej nowej, burzliwej Pieśni Życia i Miłości. Powiększyła ona liczbę członków kwucy K., napełniając wszystko słońcem i młodem Życiem.

— — — — — — —

Lecz ciągłą burzą jest życie robotnika palestyńskiego — serce jego przepełnia wieczna żądza przeżyć i elementarnego napięcia. Jedną wielką burzą

i żywiołowem przeżyciem była miłość Ziwa dla Racheli. Lecz burza mija, przemija i spokojnie błyszczy Kineret w promieniach słońca galilejskiego.

Gdy burzliwe fale zamilkną, gdy wiatr przestaje huczeć i wszystko zapowiada się się na pogodę i spokój — szomer galilejski siodła konia, rewolwer chowa w zanadrzu i pędzi w góry, wspina się po szczytach górnej Galilei, ciągle w dal... w dal z burzą nieraz poza Metulę — aż po Hermon.

Rachel była dla Ziwa potężnem przeżyciem. Minęła burza, minęło wspomnienie przeżyć i nowa wichura uniosła Ziwa hen... w dał. Może szomruje w jednej z kolonij górno-galilejskich, może przebrany w strój arabski przebywa namioty beduińskie na Hauranie, a może marzy o porwaniu słynnej wśród Arabów Chalimy, o której oddawna śnią, śpiewając tęskne pieśni miłosne, synowie szeików arabskich...

Lecz silniejszą nad wszystkie burze i burzliwszą nad wszystkie przeżycia jest pieśń Burzy i Miłości.

Elchanan kocha Rachelę — dla Racheli był on zawsze najlepszym bratem i przyjacielem. Nieraz wieczorami Rachel wsłuchuje się w pieśni i opowiadania Elchanana. A wówczas drogim jej każdy dźwięk jego pieśni, ukochanem każde jego słowo.

Elchanan tak kończy swe smętne i tęskne opo-

wieści: „Siedem lat służył Jakób za Rachelę. Lecz Jakób i Rachel to dalekie wymarzone Symbole. I choć minęło siedem lat pracy i udręki, Jakób jest jeszcze ciągle dzikim, pożądającym pasterzem, a Rachel namiętną i słabą Leją. Przeminie ponownie siedem lat pracy i udręki, dla Lei — Racheli bolesne lata wyczekiwania: Jakób otrzyma Rachelę — oni obaj już obecnie nieco silniejsi, nieco bardziej zbliżeni do Symbolu. I tak będą żyć i cierpieć w wiecznej pogoni za Prawdą i Pięknem w Symbolu. A życie płynie burzliwe, namiętnie, codziennie i tylko w chwilach Pieśni zda się człowiek być na chwilę Symbolem.

Dlatego silniejszą nad wszystkie burze i burzliwszą nad wszystkie przeżycia jest Pieśń Burzy i Miłości.“

Zemsta Beduinki

Chalima, córka szejka Ibrahima Ibn Jussufa, spoczywała u progu namiotu. Na różnokolorowych, atłasowych kołdrach rozpostarła swe piękne, śniade ciało. Jasny księżyc palestyński oświecał jej głowę, wynurzającą się z puszystych splotów hebanowych włosów. Wielkie, czarne, obramowane gęstemi brwiami, oczy patrzyły na jasną smugę dalekiego Kineret, lub zwracały się leniwie ku oświeconemu blaskiem księżyca pasmu Hauranu. Lekko rozwarte, purpurowe wargi i zmysłowe, rytmicznie się wydymające, nozdrza wchłaniały w siebie odurzający zapach rozkwitającej palestyńskiej akacji. Na śniadej cerze jej podłużnej twarzy błądziły jasne cienie. Długie, smukłe ciało prężyło się i kurczyło chwilami, świadcząc o tem, że Chalima nietylko w myślach, przeżywa rozkoszne wspomnienia — kilkakrotnie uniosły się silnie jej piersi, porywając za sobą cienką jedwabną koszulę, która w ten sposób odsłaniała jej bosko toczone uda. Wówczas chwytała długiemi palcami jedną z poduszek, tuliła w nią swą twarz

i lgnęła ku ziemi łącząc się z nią w długim uścisku.

Nagle zerwała się, zarzuciła w tył na szyję ręce, a z ust jej padły słowa:

Tak, jestem pewna, Mussa to Jahud! Od pierwszej chwili naszego poznania wydawał mi się obcym. Jego arabska mowa była inna, niż nasza, jego sposób zachowywania się dziwny. Cóż, że zewnętrznie jest podobny do beduińskich junaków — przyczynia się do tego nasz strój, który dodaje mu tyle uroku. Nie mogę być żoną Jahuda — ojciec zgodzi się mnie oddać tylko najszlachetniejszemu i najbogatszemu z pośród beduinów — żaden syn szejka fellachów nie śmiałby się ubiegać o mą rękę. Ale co tam fellach: tchórzliwy syn śmierci, przesypiający miesiące w murowanych domostwach. Lecz Mussa, najodważniejszy z pasterzy pośród szczepów haurańskich — Mussa, którego całusy są słodsze od rajskich jabłek i palmowych daktyli, którego uściski pociągają bardziej niż zakazane wino. Mussa! — któremu oddałam wszystko, co kobieta chowa dla swego pana — Mussa, który mnie posiadł — jest jednak Jahudem!

— — — — — — —

Przed dwoma laty opuścili Nimrod i Tuwal Kain jedną z kwuc galilejskich z postanowieniem dokładnego poznania rzemiosła pasterskiego. Wśród całego palestyńskiego „jiszubu“ rolniczego nie było ani jednego pasterza — Żyda. Musiano się w tej pracy posługiwać Arabami. Wypasywanie trzody wśród gór jest bowiem nielada kunsztem. Pasterz arabski posiada cały szereg dziwnych dźwięków — jakichś dłuższych lub krótszych syków i gwizdów, któremi się porozumiewa z liczną trzodą. Wystarczy jeden długi gardłowy dźwięk, jakby wykrzyk zachrypniętego człowieka, by skupić wokoło siebie całe rozproszone na stokach górskich stado.

Dla zdobycia tej umiejętności przedostali się oni do beduinów hauraǹskich, którzy uchodzą za najlepszych pasterzy. Nimrod i Tuwalkain przebrani w strój fellachów, udawali obcych, biednych przybyszów arabskich z tamtej strony Jordanu. Dzięki znajomości języka arabskiego zdołali zaimponować beduińskim mieszkańcom Hauranu. Nimrod, którego beduini nazywali Mussą, zasłynął wkrótce z niezwykłego męstwa. Wyróżnił go z pośród innych i pokochał nie jak obcego przybysza,

ale by jednego z synów swego szczepu szeik Ibrahim. Córką jego była Chalima, najpiękniejsza z beduinek, o której śpiewają tęskne pieśni miłosne synowie szejków galilejskich. Nimrod-Mussa zdobył sobie serce Chalimy. Pokochał prymitywną duszę tej dziewczyny, w której wszystko było naturalne, nienaruszone spaczającą cywilizacją, zawsze oryginalne i wielkie w swej prostocie.

Nieraz gdy szeptał jej wyznania miłosne cisnęły mu się na usta słowa hebrajskie — tłumił w sobie dźwięki tej mowy, która mogłaby zdradzić jego pochodzenie. Porwany namiętnym uczuciem dla dzikiej kobiety nie zapomniał o głównym celu dla którego podjął się tułaczego trudu. Pamiętał o tem, że musi poznać pasterskie rzemiosło i wrócić do swej galilejskiej braci, wśród której zapoczątkuje nową gałąź żydowskiej pracy: pasterstwo.

Miłość dla Chalimy była dlań jedynem urozmaiceniem wśród tego ciężkiego życia, ale z czasem po silniejszem zżyciu się z Arabką, gdy równocześnie zaczął przygotowywać plan ucieczki i powrotu do swoich — zaczęło go to uczucie dla beduinki niepokoić. Nie wi-

dział możliwości połączenia się z nią na zawsze — marzył więc tylko o tem, by pięknie swój miłosny sen prześnić. Porwanie kobiety — byłoby tylko utrudnieniem ucieczki. A wszak sprowadziło go tutaj nie poszukiwanie romantycznych przygód, ale chęć zdobycia tajemnicy nowej pracy.

Lecz oto przyszła chwila i nastąpiło z powodu przykrego wypadku to, czego się Mussa najbardziej obawiał. Tuląc do siebie dziewczynę rzucił jej w miłosnym zachwycie kilka hebrajskich słów — a te potwierdziły w jej duszy podejrzenie — Chalima odkrywała coraz więcej znamion obcości Mussy — zdawało się jej, że dokładnie odkryła tajemnicę przybysza, który zdobył jej serce i ciało. Postanowiła w tej sprawie pomówić z Nimrodem.

Nimrod i Tuwalkain wypasali powierzoną im trzodę. Była jasna, gwieździsta północ. Niespodzianie stanęła przed pasterzami Chalima. Tuwalkain wiedział o wszystkiem — niepokoiła go miłość przyjaciela do beduinki — usunął się jednak natychmiast. Chalima zarzuciła swe ramiona na szyję kochanka — spotkały się ich usta, przylgnęły do siebie go-

rące ciała. Później popatrzyły nań przenikające oczy beduinki, a z ust jej padło pytanie:

— Mussa — tyś Żyd!

— Skąd takie przypuszczenie, Chalimo?

— Zdradziły mi obcość twego pochodzenia twoje uściski, szepty twych warg, dźwięki obcego języka w twych ustach!

— Znam język Jahudów — nieraz ich spotykałem po tamtej stronie Jordanu — tłomaczył się Nimrod.

— Kłamiesz, wstyd ci tego, żeś mnie oszukał. Gdyby nie twoje męstwo brzydziłabym się sobą, którą posiadł nieczysty „giaur" — mnie córkę szejka haurańskich beduinów.

Słowa te obraziły dumę Nimroda.

— Jestem Żydem — zawołał i przyszedłem do was tylko poto, by się nauczyć pasterstwa — znając wasze dzikie obyczaje, wiedząc, że nie znosicie obcych w swoich obozach — udawałem Araba i oszukiwałem was. Teraz jednak wrócę do swoich.

— A co będzie ze mną, z mą miłością, i hańbą? — zawołała Chalima, a twarz jej przybrała wyraz prawdziwej dzikości.

— Pójdź ze mną — będziesz mą żoną.

— Nie pójdę — na pośmiewisko twych bra-

ci — Żydów, na urąganie waszych jahudzkich kobiet — na hańbę siwej głowy mego ojca! — nie rzucę przekleństwa na całe nasze plemię. Chalima nie splami czci córy beduińskiej. Lecz ty zostań naszym — wyrzeknij się twego nieczystego rodu Jahudów — zostań wśród nas!

Ostatnie jej słowa brzmiały jakby rozkaz.

Nie zostanę — wrócę do swoich — odrzekł stanowczo Nimrod.

Chalima powstała. Popatrzyła nań z góry, jej zaciśnięte pięści drżały, przenikała go swym czarnym wzrokiem, mówiąc: Do jutra daję ci czas do namysłu. Pojutrze poprosisz mego ojca o rękę twej kochanki Chalimy. Zgodzisz się na to, o czem marzą wszyscy szlachetni synowie szejków galilejskich i haurańskich — albo!

Niema chwili do namysłu — musimy uciekać — zawołał Tuwalkain — usłyszawszy wyznanie przyjaciela. Nad ranem, gdy obóz będzie pogrążony w najgłębszym śnie, znikniemy. Jutro byłoby już zapóźno — zemsta Arabki może być straszna.

Na wschodzie zaświeciła gwiazda poranna —chwilowa ciemność, jaka zaległa ziemię zdradzała zbliżający się koniec nocy. Wąwozem górskiego wadi przesuwały się cichaczem dwa cienie ludzkie. Na czele postępował Tuwalkain, w odległości dziesięciu kroków od niego — Nimrod. Nagle zabłysło w ciemności przed oczyma Mussy ostrze sztyletu. Rozpoznał oblicze Chalimy, a równocześnie poczuł gwałtowny ból w klatce piersiowej — zdołał jeszcze zawołać: „Kain!“ poczem runął na ziemię pod ciężarem przygniatającego go ciała szalonej kobiety. Tuwal nie słysząc kroków towarzysza wrócił. — Po kilkunastu minutach napotkał na martwe ciało przyjaciela i jego beduińskiej kochanki. Posiniały one od trucizny, którą na sobie mieściło ostrze sztyletu.

— — — — — — —

...Tak mszczą się beduińskie kochanki za pohańbienie ich dumy i miłości.

— — — — — — —

A Tuwalkain szedł do Galilei niosąc braci roboczej tajemnicę pasterskiego rzemiosła, okupioną tragiczną śmiercią kochanego towarzysza — ofiary nowozdobytego pola odrodzeniowej pracy.

Chassin
i Chawadża Julek

Chassin zaprzyjaźnił się z Julkiem ze względów czysto zewnętrznych. Poprostu spodobał się młodemu Arabowi młodzian żydowski o śniadej twarzy z wiecznie błąkającym się na niej dobrotliwym uśmiechem, z kruczemi, karbującemi się włosami.

Chassin zwykł był zasiadywać nocą na jednej ze skał za domostwami wioski i wyśpiewywać tęskną piosenkę o księżycu i jego smutnej, beznadziejnej miłości. Powtarzał się w pieśni gardłowym dźwiękiem przygłuszony refren: szahar... szaharu.. sza — ha — ru — u...

Gdy się w takich chwilach zjawiał Julek, Chassin przerywał pieśń i rozpoczynała się rozmowa:

— Chawadża Julek — ileś ty zapłacił za twą m a r a t*) madam Wanda?

— Otóż po pierwsze Chassin madam Wan-

*) Żona.

da to nie moja „marat", a powtóre u nas się nie płaci za kobiety pieniędzy...

— Nie płaci się „mussari" za żony chawadża Julek — to u was, Jahudów, prawdziwy raj, dziwię się więc, dlaczego nie bierzesz tej madam Wanda za żonę. Chociaż tak prawdę powiedziawszy, to tego nie rozumiem — nie jest twoją żoną, a nieraz was widywałem tak blisko siebie... (w tem miejscu uśmiecha się Arab znacząco...). Jakże to u was dobrze!

— Nie tak bardzo dobrze, Chassinie. Aby dostać jakąś piękną „marat", ma się u nas innego rodzaju trudności. Przyjdzie czas, że i wy będziecie dostawać żony za darmo, to wówczas poznacie te cierpienia...

— Ech, co tam inne trudności. U nas nigdy nie będą oddawali kobiet bez pieniędzy. Bo widzisz, chawadża, nasi starzy tak mówią: gdy chłopiec wchodzi w związek małżeński i opuszcza dom ojców, nie przysparza swem odejściem smutku ani ojcu ani też matce, kiedy zaś dziewczyna pójdzie z obcym mężem na nieznaną drogę życia, ileż łez przeleje matka, ileż chwil smutnej zadumy przeżyje stary ojciec — należy więc gwoli sprawiedliwości dać im sporą sumę pieniędzy, by w ten sposób

ukoić ich smutek... Mówią nawet, że takie to przykazanie dał ludziom Allah przez usta swego proroka, — a Bożych nakazów nie zmienisz, chawadża, zwłaszcza gdy są tak sprawiedliwe, jak te oto.

— A kiedyż ty sobie kupisz żonę, Chassinie?

— Nigdy, nigdy Chassin nie będzie miał żony, chawadża, tak już samotnie bez potomstwa zejdzie jego głowa do czarnego grobu. Nigdy nie zazna Chassin wielkich rozkoszy miłości — nigdy nie połączy się jego ciało z ciałem kobiety. A mógł Chassin być najszczęśliwszym z mężów. Jeśli zaś chcesz wiedzieć dlaczego to wszystko taki wzięło obrót to posłuchaj chawadża smutnej historji Chassina, którą ci on powierzy jak bratu i przyjacielowi jahudzkiemu:

„Pokochał Chassin Hajfę najpiękniejszą z dziewcząt naszej wioski. Ojciec Hajfy był dumny z urody swej córki, chociaż nie zaliczał się do najmądrzejszych i najbogatszych we wsi. Bo jakżeż nie miał popaść w zarozumiałość, skoro o rękę jego córki ubiegali się synowie szejków. Hajfa kochała Chassina, a że umiała swą dobrocią wymóc wszystko

na ojcu, otrzymała wreszcie jego pozwolenie na poślubienie Chassina. Pewnego wieczora przyniosła mu Hajfa tę radosną wiadomość, mówiąc: skoro zapłacisz ojcu memu .sto „lir anglizi“ odrzuci on bogate dary szejków, a Hajfa zostanie twą żoną.

Uszczęśliwiony tą wiadomością pożegnał Chassin swą kochankę i poszedł na daleką wędrówkę, by zarobić potrzebne „mussari“. Pracował Chassin ciężko, żywił się oliwką i suchym plackiem, nieraz coś ukradł i ranił swe sumienie grzechem, a znosząc te cierpienia, żył rozkoszną myślą, że przyjdzie chwila, kiedy się wypełni jego sakiewka lirami — Chassin wróci do rodzinnej wioski i kupi od ojca ukochaną Hajfę. I nadszedł dzień, w którym Chassin wracał na osiołku do rodzinnych stron wioząc ze sobą sto lir ukrytych pod siodłem. Jedzie tak szczęśliwy przyśpiewując sobie wesoło, gdy wtem zesłał nań Allah szajkę złodziei-Beduinów, którzy go ograbili — pieniądze mu zabrali, zostawiając na pół nagiego w pustem polu...

Wrócił Chassin do ojczystej wioski, wstydził się kochanej dziewczynie na oczy pokazać, przeżył bolesną chwilę, gdy ją syn szejka

z pobliskiej wsi jako żonę na swym wielbłądzie do domu odwoził i odtąd Chassin nie ma nadziei: już w swe siły i swą wytrwałość nie wierzy, by mógł raz jeszcze tak długo pracować zwłaszcza, iż nie posiędzie tej, którą tak bardzo kochał i która ciężkie chwile pracy osładzała. Zginą wraz z Chassinem wszystkie pokolenia, których mógł być ojcem" — zakończył ze smutkiem swą opowieść nieszczęśliwy młodzian arabski.

— Hajfa nie będzie już więc twą żoną Chassinie i dlatego jesteś zawsze taki smutny. Są i u nas — Jahudów smutki i cierpienia, Chassinie. Posłuchaj ty Chassinie mojej smutnej historji, a dowiesz się, dlaczego madam Wanda nie będzie żoną Julka:

„Pokochał ci chawadża Julek dziewczynę o ładnych oczach i dziecinnie-wesołym uśmiechem, której na imię było Wanda. Julek grał smętne pieśni na skrzypcach lub pobrzękiwał skoczne melodje na gitarze, a madam Wanda pięknie słuchała. Tak się pokochali. Lecz widzisz Chassin, kobiety długo nie mogą, a może nie chcą kochać pieśni. Przyszła chwila, kiedy się madam Wanda znudziły śpiewy i gitara, a wówczas zjawił się w naszym obozie

młody piękny chawadża, co niedawno przyjechał z za morza. Był on człowiekiem bogatym i silnym — inżynierem, takim, co buduje mosty i drogi, po których pędzą żelazne koleje. Porzuciła więc madam Wanda chawadżę Julka i została żoną chawadży inżyniera. Zraniła ona bardzo serce moje Chassinie, i zda się, że już innej nigdy nie pokocham. Smutne to i bolesne, przyjacielu Chassinie."

Znikł ów uśmiech naiwności z ust Chassina — posmutniały jego czarne, małe oczy. Powstał ze skały, ujął obydwoje rąk Julka i rzekł:

Chawadża, obaj jesteśmy smutni i nieszczęśliwi. Opuśćmy to miejsce, gdzie się zrodziło nasze nieszczęście. Nie siedzieć nam na tej złej ziemi. Pójdźmy na wędrówkę — każdy z osobna, może gdzieś po drodze znajdziemy nasze szczęście.

I poszli obaj z kijem tułaczym w drogę.

Gdzieś po tamtej stronie Jordanu napotkał Chassin na szajkę wędrujących Beduinów. Kiedy go tym razem napadli — postanowił się zemścić za swe poniesione straty, za stracone szczęście — rozpoczął więc z nimi walkę z zatraceńczym gestem. Zakłuli

rozjudzeni Beduini samotnego fellacha, zostawiając ciało wśród gór na pożarcie krukom.

Chawadżę Julka spotkał podobny los wśród gór górno-galilejskich. Jeden z przejeżdżającyeh Beduinów poprosił go o papierosa. Wyczuwając w jego prośbie zwykłą zaczepkę, podał mu Julek papierosa wsadzonego do lufy rewolweru. Kiedy się nań rzucili, wystrzelił raz, później drugi, lecz on był jeden, a ich kilku. Otoczyli go zewsząd, pozbawili broni. Kula własnego brauninga ugrzęzła w jego piersi.

W wąwozie górskim broczyło krwią jego ciało, a gdy przyszła zima porwały wody wartkiego „wadi“, który\ tędy przepływał, kości Julka i uniosły gdzieś hen do Jordanu, gdzie spoczęły obok ziemskich szczątków Chassina.

Dzieliło ich kilkanaście wieków kultury, połączył na zawsze wiecznie ten sam w tragizmie — los, zawsze ta sama siła: miłość!

R u t

Sielanka niebiblijna

Rut to nasz dziki, górski, ukochany kwiat. To nasza zwinna, skalna lania. Kochamy ją wszyscy — lecz serce Rut, to jakiś skarb niewyczerpany, to ogrojec, co każdego gości słońcem i cieniem, — lecz nikt nie zdoła zdobyć go tylko dla siebie. Boć smutno byłoby w naszym obozie, gdyby nagle Rut dla jednego wybrańca zamknęła swe serce.

Są kapłani, co poznali czar jej uścisków. Świętem jest dla nich objawienie jej ciała — świętą, wielka tajemnica tych, którym było dane rozpłonąć nadziemskim ogniem w objęciach naszej Westalki. Rut — to kapłanka naszej gminy.

Boas — to stary robotnik, co pomaga nam w urządzaniu gospodarstwa. Piętnaście lat stoi samotny na placówce, bez przyjaciela, bez kochanki. Samotność wyryła na jego twarzy pewne specyficzne rysy smutnego królewicza, który w tęsknocie za Nią, co przyjdzie, idzie przez życie sam lecz pewny. Kocha ludzi, świętą mu ich przyjaźń, słowa słyszane z ich ust, to dlań jakby jakaś z tajni duszy płynąca religijna spowiedź. Jednak serca swego nie oddał Boas nikomu, a patrząc na jego książęcą twarz męczennika zda ci się ona być opromienioną aureolą chrystusowego n o l i m e t a n g e r e.

I rzecze Nomi do Rut:

W wielkiej sali wszystko raduje się i tańczy, dlaczego Ty dziś nie pląsasz Rut?

Uri w ekstazie tanecznej wyśpiewuje:

Gdzie siostra nasza — kochanka Baal Szema?

Gdzie Rut — królewna mych snów?

A Rut milczy. Jakaś wielka miłość obudziła się w jej sercu, i Rut jej posłanniczka czuje rodzącą się w niej siłę do czynu.

I znalazła Rut miejsce Jego nocnego spoczynku przy stogach pszenicy.

A gdy Boas obudził się o północy zadrżało serce Jego, albowiem ujrzał spoczywające u podnóża swego, ciało kobiety.

I zapytał: Ktoś ty? Ona odpowiedziała: Oto ja Rut, sługa Twoja, przyszłam, byś skrzydła Twoje rozpostarł nade mną, gdyż przykazaniem Twojem jest mnie zbawić.

Atoli on rzecze: Błogosławioną mi przez Boga córko, wielką i świętą dla mnie łaska Twoja, lecz czy zdołasz dla mnie wyrzec się tej gromady czy to ubogich, czy bogatych młodzieńców, których byłaś kapłanką.

Nie wyrzeknę się ich Panie mój — odpowiedziała

Rut — lecz wzmocniona boskiem tchnieniem Twego ducha będę nadal strzegła świętego ogniska ich kochania. I nie będziesz odtąd samotnym wśród ludzi tych, albowiem ja będę pośredniczyła w ciężkiej drodze Twej miłości: od Ciebie do Nich.

— Wielkąś siostro moja — szepce Boas — i nie dziw, że bracia gminy mojej nazwali Cię swą kapłanką, lecz tej nocy spocznij jeszcze dziewicza w mojem łożu, a nazajutrz pójdę między ludzi, by się przekonać czy niema wśród nich godniejszego ode mnie zbawcy.

A gdy rozeszła się wieść wśród namiotów, że Rut spędziła noc z Boasem przyszli doń najstarsi gminy i rzekli:

Błogosławioną niech będzie chwila, w której Rut przekroczyła progi domostwa Twego, gdyż godniejszego od Ciebie zbawcy nie było: oby płód jej odnowił dziedzictwo syna Bet-lehem.

I Boas poślubił Rut i uczynił Bóg urodzajnem łono jej i urodziła syna. A nazwano go: Owejd), Owejd zaś spłodził Jiszaja, a Jiszaj zrodził Dawida.*

---

*) *Pracownik, rob otnik*

Samobójstwo

Świetlanej pamięci
Szmuejla Hellera

Namiot Szoszany był najpiękniejszym z salonów. Włożyła ona w jego prymitywne, pełne artystycznego smaku, ozdoby całą swą miłość dla Szmuejla i dla tego nowego życia w którem współtworzyła.

W białym płóciennym wojskowym namiocie angielskim, kształtu kolistego, o formie stożka, znajdowały się dwa zwykłe żelazne łóżka, zaścielone mleczno-białą pościelą — wnętrze namiotu było pokryte zwykłą plecionką — przy jednej z wolnych ścian leżały dwie różowe atlasowe kołdry, tworząc z dwiema poduszkami u wezgłowia prymitywne łoże wschodnie. Na środku namiotu rozkwitał krzak piwonji, osłaniając czerwony słup, na którym się namiot opierał. Sciany namiotu zdobiło kilka obrazów, przedstawiających sceny z mitologji greckiej — nad łóżkiem Szmuejla wisiała Madonna Rafaela. Naprzeciw wezgłowia Szoszany widniał mały obrazek nagiego dzieciątka o rozkwitających, różowych policzkach.

Gdy Szoszana wychodziła z namiotu, znikały z jej odejściem światłość i szczęście.

Któż w obozie nie kochał Szoszany o czarnych loczkach założonych za uszy, o dobrej twarzyczce z jasnym uśmiechem dziecięcia? Była średniego wzrostu o smukłym kształcie, a w białej swej sukience i w białych pończoszkach na nóżce, obutej w pantofelki kredowego koloru, przypominała fruwającego aniołka wśród jasnych namiotów.

Po ciężkiej pracy całodziennej były dla Szmuejla chwile spędzone z Szoszaną jedynem szczęściem, jedynem artystycznem urozmaiceniem życia, — owym największym darem bożym najbardziej osobistej radości.

Nie ukrywali się ze swem szczęściem przed ludźmi — często gromadzili się w ich namiocie różni samotni chłopcy. Nie budziło to zazdrości Szmuejla, zwykł był bowiem mawiać: czyż winę ponosi wiosna, że ją tak lubią ptaki-śpiewacy — wszak nie jest to winą pięknej dziewczyny, iż się do niej garną młodzieńcy, tak bardzo spragnieni dziewczęcego uśmiechu. Wieczorami rozbrzmiewały tam śpiewy, nieraz puszczano się w tany wokół namiotu.

Wśród częstych bywalców namiotu Szoszany wyróżniała się wysoka postać Josejfa, o twarzy smutnej, wiecznie wpatrzonej w oczy żony Szmuejla.

Szoszana kochała wspólnotę życia gminy, której była członkinią. Gdy przypadał jej tydzień pracy w gospodarstwie wszyscy wyczuwali obecność Szoszany w sposobie nakrywania stołu do obiadu, w czystości każdej łyżki i widelca, w potrawach podawanych do stołu; w każdym kącie znać było obecność tej kobiety, która na wszystkiem wyciskała znamię swej miłości i oddania się pracy. Szoszana wyczuwała wielkość czynu, któremu się poświęciła.

Raz w czasie obiadu rzekła do Szmuejla: widzisz te oto skromne jadło, jakże ono bardzo zadawala, skoro się je zajada ze świadomością, iż w tej oto porze obiadowej nikt w naszej cząstce świata, która się zwie Nową Palestyną, nie głoduje.

Część tej swojej miłości dla świata i ludzi oddawała Szoszana ukochanemu Szmuejlowi. Ileż miłości i najgłębszego ukochania mieściło się w jej codziennej czynności przy wyprasowaniu białej rubaszki, przeznaczonej

dla męża, gdy znużony i spocony wróci wieczorem z pracy.

Do takich anielskich kobiet lgną serca męskie, przed ołtarzem ich piękna chylą się najtwardsze karki — one jednak żyją i umierają z obrazem mężczyzny, którego raz pokochały i mu wierność przysięgły.

Raz wchodząc do namiotu ujrzał Szmuejl Josejfa pogrążonego w jakiemś intymnem sam na sam z Szoszaną. Zrozumiał, że jego obecność byłaby tu niepożądaną, przeprosił ich wobec tego i wyszedł.

— Wiesz, że cię kocham Szoszano — mówił Josejf — i miłość ta jest dla mnie czemś najstraszniejszem. Nie można ciebie przestać miłować powiedziawszy sobie, żeś zła, płytka, niegodna takiego uczucia. Nie można żądać od ciebie wzajemności wiedząc, iż umiesz i możesz kochać tylko jednego. Co zrobić? Do jakiego Boga zwrócić się o pomoc? Jak wyzbyć się tego uczucia? Jestem bezradny i śmieszny w tem mojem wyznaniu.

Pochyliła się głowa Josejfa, — oparła się na ramieniu Szoszany — padały jego łzy na jej białą suknię. Głaskała białą dłonią jego krucze włosy, a usta jej szeptały:

— Kochany przyjacielu, nie smuć się, jesteś silny i piękny — zjawi się i twoje szczęście — pokochasz i będziesz kochany.

— Nie! nigdy innej nie pokocham—nikogo prócz ciebie Szoszano!...

Tejże nocy było smutno w namiocie Szoszany i Szmuejla. Milczeli bojąc się dotknąć bolesnej tajemnicy człowieka, którego zły los wplótł w ich życie, postawiwszy go w tak beznadziejnem położeniu.

Josejf unikał Szoszany. Dla wszystkich był jego smutek tajemnicą. Nieraz znajdywała Szoszana wracając z pracy na swem łóżku czerwone róże — wiedziała od kogo pochodzą...

Przyszła zima. Długie dni odpoczynku. Ciemne deszczowe noce. Ludziom smutnym i samotnym jest w takie dni bardzo, a bardzo źle.

Josejf prosił by mu wyznaczono nocną straż na dłuższy okres czasu — pragnął przesypiać dnie.

Północ. W obozie cisza — wszystko pogrążone we śnie — tylko „szomer“ czuwa. Z pobliskich gór dochodzą głuche, przeciągłe jęki hien. Nagle w jednym z namiotów ktoś kogoś budzi:

— Akiba, słyszałeś wystrzał?

— Tak jest, kula padła z pobliskiego wadi*).

— Słuchaj! drugi huk, czyżby nie napad? Akiba podnosi poły namiotu. Po obozie przesuwają się cienie z latarniami — słyszy się ich ciche szepty: gdzie szomer? gdzie Josejf?

Pada rozkaz: nie wolno wychodzić z namiotów!

Trzeci strzał. Ludzie wracają z pobliskiego wadi — nie znaleziono go. Szukać po drugiej stronie obozu, ze strony gościńca!

W namiotach wszystko ubrane czeka rozkazów... Nagle wieść: znaleziono Josejfa przy baraku szpitalnym. Czaszka roztrzaskana, mózg rozprysł na trawie, przy nim karabin.

Opuszczają namioty. Oświetla się ciało szomra. Prawa noga bez buta — skarpetka w pobliżu grubego palca przecięta...

Samobójstwo. Położył się na wznak, lufę karabinu przyłożył do skroni — grubym palcem prawej nogi pociągnął za cyngiel. Widok

*) Wąwóz górski zamieniający się w porze deszczowej w strumyk.

straszny: zniekształcona twarz — ciało bo leśnie skurczone.

W namiotach lament dziewcząt. Szoszana zemdlała — żąda by ją dopuszczono do trupa.

Umieszczono ciało samobójcy w jednym z namiotów i ustawiono przy nim straż. Czarne widmo śmierci zawisło nad obozem — na twarzach ludzi straszna żałoba — jedni przechodzą obok drugich milcząc.

W baraku kuchennym leżała otwarta książka: „Bracia Karamazow“ Dostojowskiego. Czytał ją bezpośrednio przed dokonaniem samobójstwa. O godzinie 12 piekarz ukończył pracę i położył się do snu. Później Josejf rozpalił ogień pod kotłem z herbatą. Załatwił wszystkie obowiązki szomra i „skończył“.

Ludzie opowiadają sobie: już od kilku dni widziano go przechadzającego się wśród gór, zdala od osiedla, w miejscach niebezpiecznych, zwłaszcza że w tych okolicach, Arabów obowiązywała zaprzysiężona zemsta krwi. Szukał śmierci...

Judka, młodzian wychowany w domu chasydzkim, rozmawia z Moszem-neurastenikiem. Nagle ktoś w namiocie podniósł garnuszek ze stołu, który przed chwilą stał w na-

miocie, gdzie ułożono samobójcę. Po stronie zewnętrznej dna widnieją czerwone ślady skrzepłej krwi. Mosze drży..., Judka zaś uśmiecha się: wiecie, moi towarzysze, widziałem go przed chwilą, cały zakrwawiony — nieładny! Dalibóg! drodzy, to nie żydowska rzecz — to nie po naszemu zakończone!

Nazajutrz. Ból wyścielił wszystkie namioty czarnym kirem. Dawid i Jonatan poszli w góry, by wyrąbać drzewo dla kuchni. W pewnej chwili mówi Jonatan pełen zapału do Dawida — młodzieńca, który zawsze milczy:

— Wiesz, miałbym okrutną chęć wrócić do obozu, rozpalić wśród namiotów wielkie ognisko i zawołać: niechaj żyje życie!

Wracają do obozu, niosąc wiązki drzewa na plecach, a Dawid urwał po drodze wielki bukiet białych narkizijot*).

Przyszła komisja lekarska złożona z dwóch arabów. Lekarze orzekli:

„Zostało dokonane morderstwo, strzał

*) Narcyzy.

padł z odległości jednego metra, poczem mściwy morderca wyciął zabitemu mózg i rozdeptał go w trawie. Był to najwidoczniej jakiś „akt zemsty“.

Owi przebiegli eskulapi byli napewno wychowankami francuskiego medycznego kolegjum w Bejrucie*)...

Po dwóch dniach nadeszła z Tel-Awiwu wiadomość: żona Natana powiła przedwczoraj w nocy syna. Rada gminy postanowiła nazwać go Josejf.

A z namiotu Szoszany znikły na długie miesiące radość i słońce.

---

*) Wyższa uczelnia misjonarska, znana z niskiego poziomu naukowego i dyletanckiego wyszkolenia absolwentów — lekarzy.

Zahrura

— Co to za kobieta o bladej twarzy Madonny? Jej czarne oczy odzwierciadłają smutek nieszczęśliwego narodu.

Jeden ze starych towarzyszy odpowiada, a głos jego drży: — To ta, co z dwoma żyje mężami...

— Było to za czasów Tel-chaj. Zahrura była już wówczas żoną Jednego, Drugi zaś przybył z Jehuda, wysłany przez „hagana“) — młody „student z Tel-Awiwu“. Przyniósł ze sobą skrzypce i jakąś nieznaną siłę muzyki i pieśni — „student z Tel-Awiwu“. Jego serce utonęło w jej czarnych oczach, jej dusza zaś w jego pieśniach. Później przyszły dni walk i niebezpieczeństw, dni uświęcone śmiercią najukochańszych — dni, co łączą na wieki. Odtąd żyją tak we troje — razem...*

Więcej słuchać nie chciałem. Z drżeniem wielkiego poważania patrzyłem odtąd na tych troje ludzi. Ich piękne, uduchowione twarze, rzucały jasne promienie na daleką, nieznaną przyszłość nowej kultury.

---

*) *Samoobrona.*

Śmierć Chany

(*Fragment z powieści „Lew Arjeli"*)

Zaczęły się pierwsze ciężkie chwile w pracy. Łóżka wypełniły się ofiarami malarji — po miesięcu ruszyło do pracy z ogólnej liczby 90 tylko 40. Ciała dziewcząt pokryła „charara“ (pracowano w krótkich spodenkach, stojąc powyżej kolan w błocie i wyjmując błoto rękami). Przykra ta wysypka zeszpeciła ich ręce i twarz. Poza malarją i chararą grasowała trachoma, dyzenterja, żółtaczka, a wszystkich ogarnęło jakieś dziwne osłabienie. Niezadowolenie ludzi wzmagała nieudolność kierowników pracy — inżynierów i geometrów. Zaraz na wstępie zwrócili uwagę pracujących, dwaj młodzi inżynierowie z pośród nich, że sposób kopania kanałów wydaje im się być niedobrze obmyślany i grozi, że woda lada chwila zaleje kanały. Rozumie się, iż żaden z nich nie ważył się tych wątpliwości wyjawić samym „panom inżynierom“. I oto pewnego poranka spełniły się przemilczane przypuszczenia: woda zalała wszystkie kanały i zniszczyła owoce pracy całego miesiąca.

Były to pierwsze smutne wyniki fanatyzmu pracy: ludzie nadający się na stanowisko kierownicze, mogący tu być w całym tego słowa znaczeniu produktywni, jęli się łopaty i kilofa — zostawiając subtelne inżynierskie narzędzia miernicze niedołęgom przyjeżdżającym do Palestyny dla karjery. Naturalnie, że takie skrupuły nie rodziły się wówczas wśród palestyńskiej młodzieży pionierskiej: ta umiejętność rezygnacji była przy całej naiwności postawienia problemu znamieniem wielkości tych ludzi.

Ilość chorych rosła z dnia na dzień, smutek wyzierał z oczu pracujących, a niedola zaglądała coraz śmielej do wnętrza namiotów. Poczęto szukać przyczyny zła. Jedni winili drugich. Na zebraniu grupy padł głos: wspólnota jest przyczyną rozleniwienia, ludzie poddają się zbyt łatwo chorobie, niech każdy będzie zmuszony pracować dla siebie i zarobkować z pracy swych rąk, a liczba „chorych" natychmiast się zmniejszy. „Zniesmy ogólną kasę, zaprowadźmy indywidualny sposób zarobkowania"! Głos ten był zgrzytem na tle ówczesnej silnej wiary w człowieka. Był niesłusznem oskarżeniem. Był pierszym ciosem

zadanym idei wspólnoty. Poraz pierwszy zaczęła się budzić niewiara w człowieka. Najboleśniej uderzył on tych, którzy byli słabszymi w pracy.

Do tych licznych należał i Julek. Oślarstwo nadwerężyło jego siły, — wychodził do pracy, ale robił niewiele — nieraz bardzo mało. Ta słabość nie pozwoliła mu zabrać głosu na pogadance, na której ciskano zarzuty pod adresem wspólnoty. Gromkim głosem przemówił wówczas Arje: Słuchajcie bracia. Konstatuję obudzenie się w was mieszczańskiej duszy, wy przypadkowo zdrowi zaczynacie się obawiać, by was nie skrzywdzili chorzy. Niech ci, którzy się boją wspólnoty, od jutra pracują samodzielnie. Ja nie zaglądam nikomu do serca, do żołądka, ani do małej kieszonki, w której kryje swe tajemnice. Wierzę w czystość sumienia wszystkich na tej ziemi pracujących. W chwili, gdy przestanę wierzyć w nas, we wspólnotę, nie przyjdę wygłaszać mów na pogadankach,ale ani przez chwilę dłużej między wami nie pozostanę! Po przemówieniu Arjego zamilkły glosy separatystów. Nazajutrz ruszyło do pracy sześć osób. Po dwóch miesiącach pracy nie było już ani jednego człowie-

ka nie zarażonego malarją. Ciężko chorych przewieziono do szpitali w Hajfie i Jafie — między nimi znaleźli się Julek i Rut. Na miejscu pracy został Arje z kilku ludźmi i grupa Szrajbera, pracująca już obecnie zupełnie oddzielnie.

W kuchni pracowała z nadludzkim wysiłkiem mała blondyneczka, dziewczyna o twarzy dziecięcej — przez wszystkich lubiana, milcząca Chana. Zbliżała się pora obiadowa i Chana w pośpiechu smażyła na oliwie placki. W domu została ona tego dnia sama z ośla-rzem, który poszedł po wodę. Nagle zaszła potrzeba dolania oliwy do stojącej na ognisku patelni. Szybkim ruchem chwyciła Chana jedną ze stojących w pobliżu baniek, chcąc wlać do patelni oliwę. Nachyliła głowę, a gdy tylko większa ilość płynu polała się na wysmażoną oliwę, buchnęły nagle płomienie z bańki i z ogrzanego naczynia obejmując włosy i suknię dziewczyny. Z trzaskiem pękła trzymana w ręku bańka ze spirytusem, którą przez omyłkę miast oliwy wzięła, raniąc jej twarz, parząc oczy i ręce. Nieszczęśliwa padła na ziemię rzucona na pastwę ognia, który swobodnie, bez przeszkód, pożerał jej czyste

młode ciało. Gdy robotnicy wrócili z pracy, znaleźli na środku kuchni zwęglone ciało Chany — spalone na ofiarniczym auto da fe wierności ideałowi pracy. Był to pierwszy, ukochany trup na nowej ziemi.

Tegoż wieczora przybył Dohar z Galileji i przyniósł wiadomość o tragicznej śmierci Dowa, zabitego skrytobójczo przez Araba. Była to druga ofiara na pograniczu starego i nowego życia.

Oślarz

(*Fragment z powieści
„Lew Arjeli"*)

Julek został oślarzem. Praca ta wydawała mu się być bardziej „twórczą“ — było w niej coś więcej, niż w mechanicznym bądź co bądź wysiłku przy kopaniu kanałów. Pozatem była to „twórczość“ samodzielna i łączyło się z nią pewne poczucie odpowiedzialności. Oślarz musiał na czas przywozić chleb z pobliskiej kolońji, dostarczać kuchni odpowiedniej ilości wody w dość ograniczonym czasie. W porze obiadowej witały go radosne oblicza pracujących, którzy zgłodniali czekali na posiłek.

Najpiękniejszą stroną tego zawodu było współżycie z osłem. Należy w tem miejscu zrehabilitować to najniesprawiedliwiej pod słońcem profanowane nazwisko zwierzęcia przez identyfikowanie go z głupotą. Jeśli zwierzęta są naogół mniej mądre od wyższego gatunku dwunożnego „homo sapiens“, to jednak żaden głuptasek ludzki nie jest tak mądry, by zasługiwał na miano osła. Któż bowiem mądrzej od julkowego osiołka odnajdywał ścieżki górskie na drodze, prowadzącej

z Szumi do Zichron Jaakow? — Któż bardziej wyczuwał bliskość domostwa? Zdarzało się nieraz, że mądry pan oślarz pragnął zwierzątku wskazać lepszą drogę, na co się ono jednak z oślą upartością nie zgadzało. Gdy zmuszone przemocą poszło drogą nie swoją, malowała się na jego mordeczce cyniczna pewność siebie, która mówiła: zawrócisz ty panku z tej dróżki, bo nie ona prowadzi do celu, będziesz ty na przyszłość posłuszny oślej radzie... I tak też bywało.

Był ci on przebiegły ten mądry osiołek. Skoro poczuł na swych plecach nadmiar ciężaru, miał natychmiast gotowy plan zemsty na okrutnym dręczycielu. Radził sobie radykalniej niż wszelka ustawa o ochronie zwierząt. Przez ulice kolońji kroczył spokojnie, uginając się pod ciężarem, gdy się jednak miał puścić pierwszą wąską ścieżyną wśród gór, czynił to z tak nadmierną szybkością, jakby w pobliskiem domostwie poczuł obecność ukochanej oślicy. Temu gwałtownemu pędowi towarzyszyły dziwne jęki. Srodek był skuteczny: niezbyt zręcznie do grzbietu przywiązane skrzynie napełnione wiktuałami, rozwiązywały się i po stoku górskim toczyły się

świeżo upieczone bochenki pszennego chleba, rozsypywały się kostki krystalicznego cukru, rozsiewała się bielutka mąka — a po grzbiecie chlebków, na krawędziach kosteczek cukru, przez śliską powierzchnię, zasianą mąką, zsuwały się puszki napełnione naftą. Po uwolnieniu się z niepotrzebnego balastu, osiołek kroczy sobie tak miarowym krokiem, jakby go od domostwa i stajenki ukochanej dzieliło kilka porządnych kilometrów. Julek rad nie rad musiał ponownie ładować, wiązać, przymocowywać — osioł nie dawał jednak za wygranę i nie rezygnował ze swego brutalnego zwalczania brutalności. Na nic zdało się oryginalne cmokanie nieszczęśliwego poganiacza osioł by nieubłagalny w swej upartości. Po takich kilkakrotnych „wiązaniach" i „rozsypkach", Julek imał się z konieczności barbarzyńskiego środka. Siadał na grzbiecie rewolucjonisty, nogami przytrzymywał skrzynie i w ten sposób zmuszał „buntownika" do niewolniczego znoszenia swego w tej chwili podwójnie ciężkiego losu (ten drugi „los" ważył jeszcze w Europie kilkadziesiąt klg.) Taki okrutny krok dyktowała Julkowi konieczność chwili: późna godzina w nocy, stra-

szliwy odgłos hien, co budził mimowoli strach i myśl, że głodni towarzysze czekają na kolację.

O tych tarapatach oślarza nie wiedzieli spokojni mieszkańcy namiotów. Nie wyczuwali oni tortur altruisty oślarza, znęcającego się z taką świadomością nad biednem zwierzęciem, dla którego każde jęknięcie osła było bolesnym wyrzutem sumienia.

Osioł wlókł się pomału z ową specyficzną obojętnością poskromionego buntownika. Ale oto zbliżały się namioty, dolatywał do nozdrzy osiołka zapach stajenki, na instynkt jego podziałała bliskość pani oślicy. I w tej chwili zagłuszył jęk hien, szum i huk fal pobliskiego morza przedziwnie jęczący głos osła — pędził z jakąś niepojętą siłą, niosąc na swym grzbiecie ciężar i okrutnego pana. Ta niezwykła szczerość osła w wyrażaniu swych pragnień erotycznych, która się objawiała przy każdej nadarzającej się bliskości osobnika oślej płci żeńskiej, nasuwała Julkowi zawsze myśl o wyższości tego rodzaju zwierzęcia nad szlachetnym gatunkiem ludzkim. Widok takiej jęczącej ulicy, rozbrzmiewającej głosem seksualnej symfonji, miałby w so-

bie jakiś dziwny urok szczerości, prawdy — byłby symbolem rzeczywistości...

Gdy wyładowano towary okazało się, że mimo przeciążenia osła zapasy starczą zaledwie na kolację i śniadanie. Julek uważał jednak, że nie może ukochanego osiołka więcej męczyć. Kochane, mądre stworzenie otrzymało tegoż wieczora podwójną rację owsa. Nazajutrz postanowił przewieźć wiktuały w dwuch razach. Musiałby więcej pracować w dzień, by się szybciej załatwić z pracami dla gospodarstwa. Wysiłek ten dawał mu zadowolenie. Kiedy się tejże nocy kładł do snu podsłuchał mimowoli taką rozmowę: Co za brutalność dla własnej wygody męczyć zwierzę, które się łamało pod nadmiarem ciężaru i kazać mu dźwigać swe szanowne ciało. Słowa te padły pod adresem Julka...

Zabolało go mocno to niesprawiedliwe posądzenie, czuł się pokrzywdzony, napozór mieli coprawda słuszność, ale gdyby tak bardziej szczegółowo rzecz poznali jakże zasadniczo zmieniliby swe zdanie! Nie poczuwał się do winy, a pochopny ten sąd utwierdził w nim myśl o względności różnych w życiu obserwowanych przewinień. Ileż karygodnych czynów mogłoby, przy głębszem wglądnięciu

w ich pobudki, ukazać się w nawskroś odmiennem świetle. Jakżeż skomplikowane są tajnie ludzkiego grzechu — trudno uwierzyć, że je Bóg przeniknie...

— — — — — — —

Nad ranem, gdy szomer budził wszystkich do pracy nie ominął i łoża oślarza. Julek zmęczony, myśląc o przyobiecanym osłowi dłuższym odpoczynku, zawołał do brzęczącego mu nad uchem strażnika: Cicho! osioł musi jeszcze spać!...

„Osioł musi jeszcze spać" — powiedzenie to, pochwycone w swem dwuznacznem brzmieniu przez współtowarzyszy, służyło przez dłuższy czas do bawienia się kosztem Julka. Ciężki zawód oślarza dawał mu się przeto we znaki. Był to pierwszy zgrzyt w realnem współżyciu z ludźmi przy pracy.

Malarja i Skorpjony

(*Fragment z powieści*
„Lew Arjeli")

Na miejsce ich przeznaczenia — do pracy — szli z uczuciem żołnierzy, ruszających na pole walki. Po obydwu stronach drogi były bagna od których unosił się zapach przegniłego ziela, woń jakiegoś dziwnego rozkładu, odbywającego się w czarnej czeluści moczarów bez dostępu powietrza. W bagnach tych kryła się śmierć.

Już w Jafie połykali pierwsze dawki chininy, wypowiadając wojnę groźnemu komarowi -- anophelesowi.

Umieszczono ich w starej ruderze arabskiej; część zajęła wnętrze, kilkunastu umiemieściło się na płaskim dachu — pozostali zamieszkali w wielkim jak buda cyrkowa namiocie. Nazajutrz miało się wyruszyć do pracy. Na kolację spożyto tegoż wieczora konserwy angielskiego „bulebifu“ na zimno i herbatę, ugotowaną na prymitywnem ognisku. Grupa ich liczyła około 60 osób. Wszyscy byli zdrowi.

Gdy się ułożono do snu rozpoczęły nad

głowami śpiących (a raczej pragnących snu) swą nocną grę komary. O północy obudził kilku śpiących na dachu dziwny ból. Rozchodził się on po całem ciele, przedostawał się do kości, zdawał się wsączać w szpik, wpijał się jadem swym w mózg: był okropnie bolesny. Okazało się, że były to ukąszenia akrabów czy akrabutów (skorpjonów). Znaleźli się wkrótce domorośli lekarze, eks-absolwenci czy nawet studenci medycyny, którzy postanowili bezzwłocznie i radykalnie zapobiec bólowi współtowarzyszy. Jęli się więc wypalania ranek, spowodowanych ugryzieniami skorpjonów. Ukąszeni, poddawani tej operacji, jęczeli w niebogłosy, gdy zaś z pobliskiej kolonji przyjechał felczer, musiał się zająć leczeniem ran, będących następstwem wypalania jadu skorpjonów spirytusem. Ten oryginalny sposób leczenia ukąszeń skorpjonów przeszedł podobno do kronik lekarskich Palestyny, jako najbardziej humorystyczna w swym tragiźmie karta... Nazajutrz ruszyli wszyscy prócz pokąsanych i poparzonych do pracy.

Szrajber-
Fanatyk Pracy

(*Fragment z powieści*
„Lew Arjeli")

Padały kilofy na twardą, gliniastą ziemię. Rozbijane grudy ziemi wyrzucały dość prymitywne łopaty. Przy pracach mierniczych pomagali nasi dwaj niedoszli inżynierowie. Praca polegała na wykopywaniu szerokich i niezbyt głębokich kanałów. Chodziło o osuszenie pewnego bagnistego obszaru i nawodnienie sąsiedniej połaci ziemi, zupełnie wody pozbawionej. Pracowano dość pilnie, męcząc się szybko — utrudniały pracę nieporadność początkujących i zupełny brak systemu. Wśród pracujących wyróżniał się Szrajber. Nie możnaby od postaci tej odłączyć imienia, które się w fantazji wszystkich zrosło z osobą herkulesowych rozmiarów, wybitnie niezgrabną, z twarzą o silnym, czarnym zaroście, oczach, co mówiły: dusza moja zamknięta dla świata i kazały się spodziewać upartości, głowie, pokrytej czarną czupryną—o twardym, bardzo twardym karku. Szrajber pracował z fanatyzmem. Wyznaczał sobie rano pewne maksimum, które

musiał osiągnąć do odpoczynku obiadowego. Przed ukończeniem tej pracy nie zasiadał do obiadu, z obojętnością patrzył na niektórych, wracających już do pracy po obiedzie. Bywały dnie, w których nie jadał wogóle obiadów. Stawał się z dnia na dzień większym fanatykiem. Siłą rzeczy tworzyła się przepaść między nim a tymi, którzy uważali, że mają prawo do krótkiego odpoczynku. Widząc, że go otoczenie nie rozumie, stawał się jeszcze bardziej upartym. Fanatyzm jego przechodził w dziwactwo. Skupił wokół siebie grupkę ludzi mniej inteligentnych, z którymi go nic nie łączyło, prócz czci dla ich silnych muskułów. Osiągnięcie jak największej doskonałości fizycznej stało się dlań ideałem. Był absolwentem prawa. Obdarzony wybitną inteligencją, roił dziwaczne plany na temat możliwości fizycznego udoskonalenia się. Do takich oryginalnych hipotez szrajberowskich należała myśl, że gdyby człowiek od dzieciństwa stopniowo się przyzwyczaił do podnoszenia coraz większego ciężaru, to doszedłszy do lat 25 mógłby z taką łatwością unosić 100-kilowy młot, z jaką podnosi ołówek czy pióro. Pracował często nawet po zachodzie słońca.

Gdy stawał później przy źródle, by się wykąpać, nie mógł zwykle zdjąć koszuli, która spocona przylepiała się do ciała. Kąpał się w takich wypadkach w koszuli, twierdząc, że spełniał w taki sposób podwójną funkcję (mycia się i prania). Był zwolennikiem radykalizmu. Takie radykalne eksperymenty robił na sobie. To, co czynił, mogło się wszystkim innym wydawać bardzo śmieszne, on to jednak robił z całą powagą. Skoro otrzymywał polecenie lekarza, by w przeciągu kilku dni zjadał codziennie po kilka pastylek chininy, twierdził, że skoro spożyje całą tą ilość w jednym dniu, skutek leczenia będzie szybszy: mógł więc w przeciągu dnia połknąć do 30 pastylek chininy i jeść przy tem dużo dla skutecznego zwalczania mikrobów malarycznych.

Przebywał tylko wśród swej grupki ludzi prostych z którymi przybył wśród niezwykłych trudności do Palestyny — snuł przed nimi swe plany o pokryciu skalistych gruntów palestyńskich czarnoziemem, przewożonym kolejami i okrętami z Syrji (podobny eksperyment już gdzieś przeprowadzono), dla uzdrowienia Żydów proponował małżeń-

stwa mieszane Żydów z Arabami. Jego chłopcy lubili go bardzo. Był dobrym i serdecznym człowiekiem. Ponoć za czasów swych oficerskich w armji austrjackiej podczas wojny, dał swemu ordynansowi bezterminowy urlop. Z Europą zerwał wszelkie stosunki — listy od rodziców darł bez przeczytania.

Wieczorami po pracy, gdy wszyscy kładli się do snu — Szrajber wywijał zamaszyście młotem, w myśl swej teorji, że człowiek który codziennie podnosi stopniowo cięższy młot i t. d.

Cały oddał się ideałowi pracy pionierskiej. Niczem innem nie chciał się ani przez małą chwilkę absorbować. W dziwactwach jego, wywołujących nieraz nawet śmiech, było przecież coś wielkiego!

Inwalida

Na początku marzył o pracy, zdrowiu, rumianej miłości i prostem szczęściu. Przyszły ciężkie choroby, nadwątliły organizm, poszarpały nerwy — odtąd żył bardziej intensywnie jego mózg, a spoczywała reszta ciała. Stał się fantastą — marzycielem — przez pięć lat roił o pokładach węgla i nafty w pobliżu Kineret — zdobył już nawet jakieś pieniądze, zaczął wiercić, ale gotówka się wkrótce wyczerpała — dalekonośne plany runęły — fantazja jednak działała dalej.

Przez następne pięć lat „realizował projekt" użyznienia piaszczystych przestrzeni nad brzegiem morza w Hajfie i Jafie. Miało to być coś nadzwyczajnego, coś co mogłoby się stać błogosławieństwem kraju. Pięć lat minęło, a piaski nadmorskie pozostały li tylko piaskami.

Dwa lata wojenne przesiedział w więzieniu tureckiem, gdzie ciało jego posiniało od

otrzymanych razów, a cera twarzy upodobniła się do barwy pergaminu. Później walczył w legjonie, wałęsał się po szpitalach w Aleksandrji i Port Said, przeszedł trachomę, krwawą dezynterję, żółtaczkę, a skórę jego żarła charara.

Z początkiem 1920 roku ,gdy obozy młodych, zdrowych pionierów zapełniły kraj, wrócił i on z Egiptu do Palestyny. „Nowi“ budowali szosy, rozsadzali skały dynamitem i rozbijali je wielkiemi młotami, a dziewczęta tłukły kamienie na małe kamyczki. Po miesiącach znaczyły długie, przez kilometry biegnące linje dróg, dzieło ich młodych, dzielnych rąk. Pot spajał kamienie,a nadzieje i zapał, płonący w ich sercu, bieliły i upiększały codzienny, czarny trud. Jego — inwalidę — przydzieliła organizacja robót publicznych do jednego z obozów pionierskich, jako sanitarjusza. Praca ta polegała na dbaniu o higjenę gospodarki obozu, na utrzymywaniu czystości różnych dyskretnych miejsc, na destylowaniu wody do picia i przestrzeganiu, by „chalucowie“ zażywali w porządku chininę.

Kogoś, kto marząc o fizycznem odrodzeniu, o sile, a nawet o wielkości, stał się inwa-

lidą — nie mogła zadowolić praca sanitarjusza. „Sanitarjusza“ nie lubiano, bo był tym mądrym, ostrożnym, przezornym, dbającym o zdrowie, przestrzegającym przed niebezpieczeństwem tych, co nie znosili zbytniego bezpieczeństwa. On musiał być tym małostkowym, kontrolującym czy połykanie gorzkich pigułek chininy odbywa się regularnie, w atmosferze pełnej dążeń do rzeczy wielkich, których smaku i on kiedyś zakosztował. Inwalidy unikały dziewczęta, one marzyły o sile swych ukochanych, a on był taki słaby i do tego... sanitarjusz.

— — — — — — —

Pewnej nocy gościli w obozie „nowych“, gdzie pracował inwalida — „szomrzy“ z Kfar Gileadi, którzy wstąpili tu w drodze z górnej Galilei do Jehuda. Byli to dawni towarzysze Sanitarjusza z pierwszych lat jego pracy w kraju. Los tłukł ich również, niejedno przecierpieli,ale nie załamali się w walce i wytrwali.

Po kolacji zapalono ognisko — starzy szomrzy tańczyli z chalucami „chorrę“, a na zakończenie odtańczył Jecheskiel Nissanow

taniec czerkieski ze sztyletem w ustach. Inwalida siedział smutny i samotny na uboczu. W tej chwili odczuł najwyraźniej, że go los wyrzucił poza nawias tego życia, które się tu tworzy, iż on się już tu na nic przydać nie może. W dziele odbudowy nie współtworzy, smutkiem ich się nie smuci, ich taniec go nie porywa, ich święto nie jest jego świętem. Nad złamanem jego życiem rozpostarła się czarna żałoba. Wyczuł najmaterjalniej, że jest trupem wśród tych ludzi, iż zamarły w nim wszelkie zarodki życia. Bolesnej melodji jego duszy wtórował jęk hien. W bilansie swych możliwości życiowych nie znalazł ani jednej dodatniej pozycji. Gdyby mógł choć przez chwilę uwierzyć w swe dawne rojenia, snuć jakiś nowy plan, puścić wodze swej fantazji. Wyczerpały się wszystkie źródła. Taka bezradność podyktowała mu jedyne wyjście..

— — — — — — —

Szomrzy rozbierali się w jednym z namłotów, gotując się do snu. Nagle rozwarły się płótna wejściowe i stanął przed nimi Inwalida. Poznali towarzysza z pierwszych lat pracy; była to raczej straszna mara tego junaka,

który kiedyś z nimi razem stawiał pierwsze kroki na tej ziemi. Brać szomrowa popatrzyła nań osłupiałym wzrokiem.

— Gdzieś się tak zatracił, przyjacielu? — zapytał Jecheskiel.

Przez namiot przebiegł jakiś tajemniczy głos, którego nikt nie wydał — przeszyło powietrze słowo: trup, trup.

Dziwnym, nieziemskim ruchem pochwycił Inwalida jeden z leżących na stole rewolwerów.

Jigaejl powstrzymał jego dłoń, lecz natychmiast puścił, kiedy z ust Sanitarjusza padły słowa:

„Nie wolno mi swem ciałem smucić waszego życia — nie wolno mi zabierać miejsca — ja swoje skończyłem — puśćcie!“

I wyszedł...

— — — — — — —

Nazajutrz znaleziono go zabitego w wąwozie.

A szomrzy popędzili na swych czarnych „arabach“ do Jehuda, by organizować samoobronę.

W kamieniołomach rozsadzali pionerzy

dynamitem twarde bazaltowe skały, rozbijali je młotami na drobne kamienie, a dziewczęta tłukły młoteczkami na małe kamyczki.

W wąwozach kończyli inwalidzi, a na nowych drogach, na stokach i szczytach gór zdobywało młode pokolenie pionierów nowe życie.

Tchórz

— Panie doktorze, od chwili gdy się przekonałem, że jestem tchórzem, czułem, iż muszę opuścić pracę i tę gminę ludzi wśród których mi żyć wypadało. Nakazywała mi to moja duma — a wszak jej mimo wszystko nie straciłem — pomimo mego tchórzostwa.

Psychjatra wiedeński Dr. Szalom zwrócił się do młodego mężczyzny, który mu uczynił to wyznanie z następującem pytaniem:

— A może raczy mi pan przedstawić warunki wśród jakich się przekonałeś o swem tchórzostwie, kiedy nastąpił u pana stan, który nazywasz „poczuciem małowartościowości“?

— Było tak. Ale na wstępie mała uwaga: mówiło się u nas bardzo wiele o męstwie, byli tacy, co się nieraz okazali dzielnymi, a ja sam pełniłem straż na niebezpiecznych placówkach w ciemne noce zimowe i czułem, że skoro nadarzy się jakieś niebezpieczeństwo, to człowiek potrafi walczyć i zdoła się obronić. Proszę teraz pomyśleć: pewnego razu myję się

z dwoma towarzyszami przy źródle. Nagle zjawiają się pasterze arabscy i coś im się nasze „obnażanie ciała“ nie podoba. Zródło należało do nich, więc zaczęli porządnie klnąć, na co my nie reagowaliśmy. Wówczas przystąpili do „rękoczynów“, a kilku dopadło nas nawet grubemi „nabutami“[1]). Moi towarzysze się bronili. Jeden z nich młody chłopak, dostał kilkanaście porządnych razów po plecach, ja zaś, widząc na co się zanosi, zacząłem się cofać. Nagle myśl: co, będziesz uciekał?—jesteś tchórzem! Nie! Chwyciłem kija, zbliżyłem się do walczących, chcąc nim uderzyć jednego z Arabów. I nie wiem co się wówczas ze mną stało — ręka odmówiła mi posłuszeństwa, nie mogłem laską zmierzyć Araba, jeszcze nigdy w życiu do tej chwili nikogo nie uderzyłem — rzuciłem więc ją i zacząłem uciekać... Za mną biegł ów młody, pobity towarzysz, a że był bosy prosił mnie, bym go uniósł na plecach. Próbowałem, ale całe me ciało drżało ze strachu, zdawało mi się, iż widzę w ręku araba sztylet — opuściłem towarzysza i biegłem co tchu do obozu, by donieść o napadzie. Przez

---

[1]) Grube laski.

całą drogę gnał ktoś za mną wołając: tchórz, tchórz!

Dr. Szalom uśmiechnął się dobrodusznie i poklepał „tchórza“ po plecach. — Kochany panie, — rzekł — w tem całem pańskiem tchórzostwie nie widzę niczego poniżającego. Jesteś pan człowiekiem, pozbawionym brutalności, inaczej mówiąc, naturą subtelną — nie nadajesz się pan do bicia ludzi — i to miałoby być pańską wadą? Czyż miałby stanowić o pańskiem poczuciu „mniejwartościowości“ fakt, że nie mógł się pan zdobyć na to, czego dokonał Arab, którego dzieli od nas kilkanaście wieków kultury i co zrobili z mniejszem powodzeniem pańscy towarzysze, mniej subtelni od pana? Nie konstatuję tu żadnego powodu do przygnębienia duchowego. Postaraj się pan żyć wśród ludzi, gdzie nie bierze góry „prawo pięści“, a tam napewno ocenią należycie pańską „więcejwartościowość“.

— Dziękuję panu, panie doktorze, postaram się o to — mówił odchodząc, a ton jego głosu nie wyrażał wielkiej nadziei.

— — — — — — —

Ha! ha! ha! — subtelność — stare, jak nasza galutowa wędrówka, tchórzostwo żydow-

skie. Oni je przezwyciężyli i mieli prawo, mieli zupełne prawo po tem, co się zdarzyło, mnie wyprosić ze swego grona...

Znalazł się w wiedeńskim „Praterze“ Usiadł na jednej z ławek. Była niedziela, piękny, letni dzień. Spacerowały, przytulone do siebie, uśmiechnięte pary. Radowało się wszystko życiem.

— Czy to są sami nie — tchórze?, czy któremu z nich dokucza taka straszna zmora, jak jemu? — zrodziło się w nim pytanie, gdy patrzył na ich zadowolone, pewne siebie, twarze. Czy który z nich przeszedł taki okrutny sąd nad duszą, jak on?...

Pomni. Owa straszna noc. Członkowie osiedla zebrali się w wielkiej sali na naradę. Gdy wszedł na salę zaległa wszystkie kąty głucha cisza. Wszystkie oczy były na niego skierowane. Dwóch towarzyszy, którzy się z nim razem znaleźli przy źródle odwieziono dzień przedtem ciężko rannych do szpitala. On zaś przybył zdrów. „Ocalał“.! A milczenie na sali krzyczy mu do ucha: tchórz! tchórz! Nagle odzywa się Arje — naczelnik grupy: obecność jednego niepowołanego wśród nas przeszkadza mi w prowadzeniu dzisiejszych

obrad. Dopóki on nie opuści zgromadzenia będę musiał razem z wami, towarzysze, milczeć!

Wszyscy popatrzyli w tej chwili na niego. Dlaczego właściwie nie wychodzi? Przecież to jasne, że to do niego się odnosiły słowa Arjego!

Jednak nie wyjdzie — niech się stanie, co się ma stać, pozostanie do końca.

Nagle powstał Arje i rzekł; „Icchak! splamiłeś godność członka naszej gminy tchórzostwem...“ Dalszych słów nie pamięta. W tej chwili poczuł, jakby mu dziesięć ciężkich młotów z kamieniołomów uderzyło w głowę, pociemniało mu przed oczyma — taką, naj straszniejszą prawdę pierwszy raz słyszał w życiu — mówiono mu wprawdzie, ale to były półsłówka, domyślniki, a tu — cała naga, bolesna prawda.

Opuścił salę, wpadł do swego pokoju, położył się na łóżko i tak przeleżał do następnego dnia.

Nazajutrz opuścił osiedle bez pożegnania. Nikt sie podał mu ręki na odejście.

Później odjazd — Europa. Zapijało się robaka w spelunkach podmiejskich — zatracał

się człowiek na syfilitycznych łonach prostytutek. Nie miał odwagi rozpocząć pracy. Co? — studja! Nie przedstawiasz wartości człowieku — jesteś tchórzem! Zostaniesz lekarzem — nie będziesz miał odwagi pójść do jakiegoś zakaźnie chorego lub podjąć się ciężkiej operacji. Zostaniesz adwokatem — nie zdobędziesz się na obronę oskarżonego! Samobójstwo — nie warto! — takowe życie nie godne, by nabawiało kogoś smutku. Co pozostaje? Nie pytać. Przypatruj się spokojnie tej głupiej farsie, która się nazywa twojem „życiem"...

A później zjawiła się ta mała dziewczynka, o anielsko-ślicznej twarzy. Nazywała się Rachel, a poznał ją w domu emigrantów. Przychodził tam często i przypatrywał się młodym chalucom, którzy pełni wiary wybierali się do Erec-Israejl. Raz zobaczył wśród nich Rachelę. Mówił z nią, opowiadał jej wiele o kraju... Jest chory na ciężką malarję i musi ją tu leczyć we Wiedniu, a później wróci do swej grupy, do pracy... Kłamał, a ona podziwiała jego przeszłość. Po kilku dniach poczuł, że ją kocha. Ale skąd do niego takiego uczucie? Kiedy mu Rachel wśród rozmowy rzuciła:

„wiecie Icchak, ja na was poczekam, aż wyzdrowiecie, pojedziemy razem do Erec“ — jakieś nowe nadzieje, dawno zapomniane uczucia, zaczęły się budzić w jego sercu. Obudziło się pragnienie życia.

Poszedł do lekarza. Ale co tam lekarz pomoże?! On sam się wyleczy — sam musi owe tchórzostwo wykorzenić ze swej duszy i być zdrowym, silnym człowiekiem, godnym Racheli i jej miłości, albo — albo zginąć!

— — — — — — —

— Rachel! pojadę najprzód sam, przygotuję wszystko, napiszę list, a później i ty przyjedziesz. Weźmiemy ślub — będziesz moją i rozpocznie się nasze szczęście w kraju. Dobrze Rachel?

Pożegnał ukochaną dziewczynę i pojechał do Erec-Israejl.

— — — — — — —

Został szomrem w Metuli. Szukał niebezpieczeństwa. Puszczał się na najbardziej niepewne wycieczki. Wreszcie nadeszła długo oczekiwana chwila. Napad! Rzuca się w wir walki. Walczy jak tygrys. Wszyscy podziwia-

li jego męstwo. Musi zabić w sobie tchórza...

Przyszła kula — przeszyła mu pierś...

— — — — — — —

Leżał na białem, szpitalnem łożu, wyczekując śmierci. A gdy konał szeptały jego usta: — powiedźcie Arjemu z „Gewury", że Icchak nie jest tchórzem, napiszcie do Rache... I wyzionął ducha.

„Jankełe Gazłen”

Przydomek ten zawdzięczał szomer Jaakow matce. Chcąc przedstawić swój sposób życia w Palestynie, pochwalić się zarazem bohaterstwem, napisał raz do matki, mieszkającej na Litwie, taki mniej więcej list:

„Droga matko! Oto przed chwilą wróciłem ze straży. Przy mnie stoi jeszcze naładowany karabin. Już od kilku nocy okrążam na koniu mury kolonji Milchamiji (nazywa się tak, bo tu często prowadzą „wojny“). Przez ramię noszę zawieszoną na pasie broń. Mieści w sobie kule. Prócz tego mam za pasem ostry sztylet. Do dziś dnia nie zabiłem jeszcze ani jednego Araba. Gdybym jednakowoż któregoś złapał na kradzieży, to go napewno przestrzelę. O mnie możesz być spokojną. Arabowie mają złą broń, nie umieją strzelać, no i kule ich nie imają się Żydów, a zwłaszcza szomrów.

Żegnam Cię, całuję i ściskam

Twój syn Jankele“.

W odpowiedzi na to otrzymał Jankełe następujący list od matki:

„Synu mój Jankełe! Czem Ty się tak chwalisz przedemną: tem, że się zajmujesz zabijaniem ludzi. To na to ja Ci przyjmowałam najlepszych nauczycieli, uczyłam Tory i kształciłam na uczciwego człowieka i Żyda, byś później pojechał do ziemi świętej zabijać niewinnych ludzi. Jankełe Gazłen! co za cierpienia Ty sprowadzasz na moją siwą głowę. Porzuć natychmiast to niegodne Żyda rzemiosło, oddaj jakiemuś gojowi karabin, sztylet i konia, a sam zostań handlarzem uczciwym. Boże, mój Boże — czegom ja się doczekała — mój syn Jankełe — a gazłen!

Twoja matka"'.

Jaakow odczytał list ten towarzyszom — szomrom w Milchamiji i odąd nazwano go „Jankełe Gazłen". Przydomek ten stał się jego prawdziwem nazwiskiem, nieliczni jeno wiedzieli, jak się Jankełe Gazłen naprawdę nazywa.

„Morderca" ten nie miał wcale groźnego oblicza. Błąkał się na niem raczej ciągle uśmiech dziecka: małe, czarne dobrotliwe

oczy, cera śniada, niemal czarna, czoło niskie, twarz owalna — głowa pokryta drobnym włosem. Postać herkulesowa, chód szybki, szczery i mocny uścisk dłoni...

Po wybuchu wojny europejskiej rząd turecki wydalił z Palestyny wszystkie „niebezpieczne" jednostki. Do kategorji tych należał również Jankełe Gazłen. W czasie wojny walczył on na różnych frontach, był kilkakrotnie ranny, a gdy nad Palestyną zapanował mandatarjusz angielski, znalazł się niebawem na jednym z pierwszych okrętów płynących z Triestu do Erec-Israejl. Jankełe nie był jednak tym razem samotny, jechała z nim stara matka jego, by złożyć swe kości przy prochach praojców naszych w Swiętej Ziemi.

Tym samym okrętem wracali do Palestyny Arabowie, którzy dorobiwszy się majątku w Ameryce, odwozili zdobyte skarby do swej starej ojczyzny. Byli to nacjonaliści arabscy, dobrze poinformowani o ruchu narodowym wśród Żydów, o tem ,że Zydzi uzurpują sobie prawo do Palestyny, jako ojczyzny. Widząc na okręcie tym dużo emigrantów żydowskich, szukali zaczepki, by wykazać swą przewagę

fizyczną. Nie wiedzieli, że jedzie na nim szomer palestyński, Jankełe Gazłen.

Pewnego razu uderzył jeden z Arabów myjącego się przy kranie chaluca po plecach — ten wymierzył mu natychmiast policzek w odpowiedzi. W tej chwili zabłysnął w rękach rozjuszonego Araba sztylet. Jednym skokiem znalazł się przy nim Jankełe i wykręcił mu sztylet z ręki. Rozpoczęła się bójka. Z górnych pokładów okrętu pospieszyli na pomoc samotnemu przyjacielowi Arabowie Jankełe walczył jak wściekły. Chwycił jakiś żelazny drąg leżący przy maszcie i kosił nim w prawo i w lewo. Nagle usłyszano głośny strzał rewolwerowy. Kula świsnęła w powietrzu i ugrzęzła w maszcie. Zaalarmowano straż okrętową. Przewożenie broni palnej było wówczas wzbronione. Arabów odizolowano w jednej części pokładu, a kapitan zawiadomił o „wojnie arabsko-żydowskiej“ na pokładzie włoskiego okrętu policję portu Brindisi, do którego statek miał wkrótce zawinąć. Arabowie nie chcieli się dać rozbroić oświadczając, że podróż z takim „jahud-moskobi“ bez broni palnej wydaje im się być nader niebezpieczną. Postanowili raczej zaczekać w Brin-

disi na najbliższy okręt, płynący do Palestyny.

Gdy Arabowie opuszczali okręt, Jankełe zebrał jadących z nim chaluców i w ten sposób do nich przemówił:

„Oto mieliście sposobność przekonania się, że Arabowie są tchórzami — należy tylko na każdą zaczepkę odpowiednio zareagować, a wówczas ukazują się we właściwej skórze „zająca“. Krótką tę lekcję daję wam na drodze do kraju, gdzie przyjdzie niejedną ciężką przeżyć chwilę, stary drab palestyński Jankełe Gazłen. I jeszcze jedno wiedzcie: Arabowie nie umieją strzelać, a walecznych się ich kule nie imają...“

Na okręcie szeptano wiele o waleczności Jaakowa. Starzy Żydzi zwracali się do jego matki, która w chwili walki syna z Arabami kilkakrotnie zemdlała, z serdecznemi gratulacjami, chwaląc jego dzielność.

W pewną zaś jasną, pogodną noc księżycową, gdy okręt dobijał do Aleksandrji, usiadł Jankełe przy matce, uścisnął jej dłoń i uśmiechnięty postawił jej następujące py-

tanie: matko, czy Jankełe jest naprawdę „a gazłen"?

Matka uśmiechnęła się, lecz nie odrzekła ani słowa i milczy w tej sprawie zda się po dziś dzień...

Warjaci

Jawol-Oryginał-
Społecznik-Rewolucjonista

Szpital dla warjatów w pobliżu Jerozolimy niczem nie przypomina innych tego rodzaju zakładów na świecie. Stanowi on organiczną cząstkę nowej, budującej się Palestyny. Powiedzenie to nie jest bynajmniej paradoksem. Wśród stałych mieszkańców tego domu spotkasz najciekawsze typy pionierów palestyńskich: robotników, nauczycieli i działaczy społecznych, których ustrój nerwowy nie mógł znieść wysokiego napięcia, wiecznego niepokoju i ciągłej gorączki tamtejszego życia. Jest on jako taki jednym z symbolów odrodzenia narodowego.

Na pograniczu dwóch światów, na drodze od niewoli do wolności, od galutowej chorobliwości do górnogalilejskiej zdrowotności — stoi szpital warjatów — przestrzeń otoczona murem, której powietrze jest przesiąknięte tragizmem rozstrojonych nerwów opętanego ducha Ahaswera, Żyda — wiecznego tułacza.

JAWAL

W wielkim pokoju przechadza się szybko tam i napowrót wysoki, chudy mężczyzna o ostrych rysach twarzy, długim nosie i wysokiem czole. Nazywa się Jawal. Przez dwadzieścia lat był członkiem grupy M. w Galilei. W dzień pracował, a w nocy zamykał się w swoim pokoiku i grał całemi godzinami na skrzypcach. Był sam — zupełnie samotny.

Pewnego wieczora zawitali do osiedla M. dwaj skrzypkowie i śpiewak, którzy wędrowali po całym kraju, dając wszędzie koncerty z ramienia organizacji robotniczej. Muzyka zrobiła na obecnych bardzo silne wrażenie. Tejże nocy Jawal nie odegrał swego codziennego koncertu w samotnym pokoiku.

Po północy obudził mieszkańców osiedla przeraźliwy krzyk w mieszkaniu Jawala. Gdy wyważono drzwi przedstawił się wchodzącym następujący widok: na ziemi leżał Jawal, wijąc się w ataku histerycznym, usta jego pokrywała biała piana, przy nim leżały rozstrzaskane skrzypce. Nazajutrz odwieziono

go do szpitala w Bejrucie, a stamtąd do Jerozolimy.

Odtąd stał się głuchy na wszystko: na śpiew, na muzykę, na głos ludzki — uparcie milczy, przechadzając się ciągle po długim pokoju.

ORYGINAŁ

O r y g i n a ł powtarza ciągle jedno powiedzenie. Do każdego z odwiedzających szpital zbliża się i wyjawia mu swój żal w następujących słowach:

„Wyobraź pan sobie. Męczył się człowiek przez całe życie, zebrał materjał na budowę domu, zakupił plac. Wszystko w porządku. Stawia fundament — wszystko zapowiada się najpiękniej. Przychodzi kobieta, taka sobie najzwyklejsza na świecie kobieta, no i nie robi nic napozór złego. Smiesznie doprawdy — nic złego — zanieczyszcza fundament swym kałem — cha! cha! cha! kałem, nic złego. Panie! ale jakże ja mogę wybudować mój pierwszy dom — tu w tym kraju przyszłości — na fundamencie, który moja żona w swej lekkomyślności zanieczyściła własnym kałem...“

Lekarz podaje mi przyczynę choroby Oryginała: ukochaną żonę zostawił w Europie. Sam przyjechał do Palestyny i długą pracą dorobił się sumy, która mu umożliwiła wybu-

dowanie domu i sprowadzenie do kraju ukochanej kobiety. Prócz żony swej nikogo nie miał na świecie, nikogo nie kochał. Gdy przystąpił do budowy domu spotyka pewnej nocy ukochaną „in flagranti“ z sąsiadem. Zwarjował. Zrozumiałem banalną, ale dosadną symbolikę w powiedzeniu Oryginała.

SPOŁECZNIK

Z ust S p o ł e c z n i k a padają co chwila rozkazy:

Natychmiast sprowadzić namioty! Ludzie dopiero wczoraj wysiedli z okrętu, nie mogą więc już tej nocy spać w tem pustkowiu pod golem niebem. Namioty! Namioty!

Zwarjował wśród następujących warunków:

Z grupką imigrantów robotników wysłano go na miejsce pracy. Tegoż wieczora miały przybyć namioty i cały tabor potrzebny do ustawienia obozu. Była już późna godzina w nocy, a wozy się nie zjawiły. Ludzie padali ze znużenia.

Nie zastanawiając się wiele Społecznik wsiadł na konia i popędził do najbliższego miasta. Po przybyciu do urzędu pracy dowiedział się, że wozy wysłano przez omyłkę w innym kierunku. Zmęczony, zdenerwowany i rozgniewany wraca tą samą drogą. Myśl, że ludzie spędzili noc pod gołem niebem, iż nie przynosi im żadnej nadziei — oburza go do

głębi. Zawraca konia i przyjeżdża na spienionym rumaku do biura organizacji: spojrzenie jego jest dzikie, włosy ma rozszarpane, staje i woła ochrypłym głosem: Natychmiast sprowadzić namioty! Namioty! Namioty!

I tak woła po dziś dzień.

REWOLUCJONISTA

Rewolucjonista okala szybko mały pokoik, w którym sam przebywa i wpatrzony w zegar ścienny powtarza od czasu do czasu: „Gdy zegar wskaże dwunastą, zawita na świat rewolucja socjalna.“

Chodzi szybko i wyczekuje chwili, gdy wskazówki zegara pokryją się na liczbie 1 2.

Jednakże zegar stoi, wskutek zarządzenia lekarza, i nigdy jego wskazówki nie wskażą godziny dwunastej.

Chamsin

(Fragment z powieści „Lew Arjeli")

W malarycznej gorączce przebyli Rut i Julek drogę, prowadzącą do Tel-Awiwu. Umieszczono ich w małym szpitaliku „Hadassy". Julka obudził dopiero o północy ból zastrzyku chininy, zrobionego mu przez siostrę wśród snu. Nerwowym ruchem chciał się obrócić na wznak i gdyby nie wyjątkowa zręczność starej palestyńskiej felczerki, byłby złamał szpilkę wstrzykawki, tkwiącej w jego ciele. Na szczęście zdołała ją jeszcze „choweszet" z błyskawiczną szybkością wyjąć.

Jafa — tak było na imię tej pielęgniarce, ex-studentce medycyny z Rosji — przemówiła doń ciepłym głosem: „ejn dawar chawer" — „nic złego towarzyszu". Po raz pierwszy nazwano go w kraju „chawejr" — „towarzyszem" — wśród swoich mieniono się zawsze na zebraniach i pogawędkach: „ach" — bracie lub „achot" — siostro. Było w tem więcej bezpośredniości i intymności.

Jafa była młodą, smukłą brunetką, o bla-

dej twarzy i czarnych jak węgiel oczach. Usiadła teraz przy nim, ułożyła swą zimną dłoń na jego gorącym czole, a drugą ręką sięgnęła po szklankę z lemoniadą, stojącą na stoliczku, przy łóżku Julka. Napił się i dopiero teraz, podnosząc nieco głowę, zauważył, że łóżko jego znajduje się w wielkiej sali szpitalnej wśród innych łóżek, na których spoczywali chorzy, pogrążeni we śnie. Na sali panował półmrok.

— Skąd się tu wziąłem? — zapytał siostrę.

— Dziś rano przywieziono cię z jedną dziewczyną z Szuni, z obozu „nowych“. Dziewczynie na imię Rut. Leży na oddziale kobiecym.

— A gdzie się znajduję? — pytał dalej.

— W Tel-Awiwie — brzmiała cicha odpowiedź Jafy. Ale teraz „chawejr“ będzie już dobrze. Kryzys minął i gorączka zacznie spadać. A później weźmiemy się do jedzenia i będziemy zdrowi!

Mówiąc te słowa uścisnęła mu dobrotliwie rękę. Mowa jej działała dziwnie kojąco. Ze smagłej jej twarzy płynęła jakaś tajemnicza moc pocieszenia. W tej „towarzyszce“ wyczuł siostrzaną duszę.

— Jafa! — przerwał nagle ciszę głos jednego z chorych.

Pielęgniarka podeszła doń szybko. „Zaśnij!“ — rzuciła Julkowi przed odejściem. Osłabienie i zmęczenie skleiły mu oczy. Gdy Jafa doszła doń po chwili zastała go już śpiącego. Usiadła więc przy swoim stoliku i czuwała nadal z oddaniem.

— — — — — — —

A Arje zmagał się z malarją. Nie pamięta, który ze starych palestyńczyków powiedział mu, że malarja jest chorobą woli. Szedł z gorączką do pracy. Gdy zaczął odczuwać ów specyficzny ból głowy, a ciało jego przejmowały dreszcze, nogi zaś przechodziły w stan dziwnego odrętwienia — połykał masami chininę. I tak w dwóch, trzech, szli rano do pracy i wracali smutni do domu. Gdy zabrakło dzielnej Chany, nie było już komu pracować w kuchni—malarja bowiem powaliła na łoże wszystkie dziewczęta. Pozostali przy zdrowiu żywili się zimnemi konserwami, herbatą gotowaną na maszynce i owocami, kupowanemi u Arabów. Zaczęła grasować dyzenterja. Obóz zamienił się w jeden wielki szpital. Ciężko chorych odwożono do pobliskiej ko-

lońji — stamtąd odchodzili zwykle do Jafy. Bardziej niż malarja gnębiło Arjego ciężkie położenie grupy. Z dnia na dzień upadał bardziej na duchu. Czuł, że ogarnia go jakaś straszna apatja. Raz wieczorem doszedł do swego kuferka. Gdzieś wśród rzeczy leżało małe lusterko. Popatrzył. Od chwili przyjazdu do kraju, nie widział swej twarzy w lustrze. Straszne uczucie: nie poznał się prawie! Twarz jego wychudła, wydłużyła się, była żółtawo-blada, oczy zapadły głęboko, a na wszystko padał cień silnego zarostu. Otrząsnął się szybko z tego przykrego wrażenia. Nie wolno zapominać o najważniejszem. Nowe Zycie! Ojczyzna! Bracia, rozsiani po całym kraju! Trzeba wytrwać i pracować!

I w grupie Szrajbera grasowały malarja i dyzenterja. Zdarzyło się więc, że pewnego poranku ruszyli dosłownie we trzech do pracy: on, Szrajber i Mendel. Pracowali rzucając od czasu do czasu wzrokiem na wzgórze, gdzie w wielkim namiocie leżeli w gorączce malarycznej chorzy bracia i siostry. Już dawno poszły w zapomnienie spory na temat wspólnoty, niechęci do pracy, lenistwa i t. p.

Po tragicznej śmierci Chany wszyscy poczuli się złączeni jakąś dziwną spójnią, która wykluczała wszelkie małostkowe rozliczenia. Wiadomość o tragicznej śmierci Dowa przypieczętowała to ciche przymierze.

Około południa powiał silny wiatr od morza. Z początku był bardzo miły — chłodził ich rozpalone od słońca twarze i orzeźwiał ciało. Ale nieco później stał się przykry: unosił ze sobą tumany kurzu, zasypywał oczy, miast chłodzić prażył jakiemś piekielnem ciepłem. W końcu zaczynał być groźny: sypał ognistym deszczem, zakrywał wykopane przed chwilą rowy, sprowadzał ciemność na ziemię — zwiastował coś bardzo groźnego. Instynktownie popatrzyli na wzgórze. Z początku było całe zasłonięte mgłą — później zaczęły się wyłaniać jakieś białe plamy, fruwające w powietrzu — jakby się nad wzgórzem unosiły setki dziwnych ptaków. Nagle się ciemność rozjaśniła, a przed ich oczyma rozpostarł się groźny widok: namiotu już nie było, wśród rozdartych zaś płócien i załamanych słupów uwijały się dziesiątki postaci w bieli. Popędzili co tchu w kierunku wzgórza.

Narodziny Nowego Erosa

(Fragment z powieści „Lew Arjeli")

Wszechpotężnie świętą jest wiara w przyjaźń. Lecz bywa, że dusze rozpłomienione siłą wielkiego Erosa, ważą się zamarzyć o rzeczach nadludzkich, o związkach na które stać było może tylko bogom, a na które zdobędą się może kiedyś ludzie w epoce bogów. „Kobieta nie będzie w stanie nas rozdzielić“ — szeptały mu czarne oczy młodzieńca, a ręka jego ściskała mu mocno dłoń. Długo szukały go jego oczy, aż wreszcie spotkali się i rozmówili.

— Nazywam się Arje — pwiedział mu — Rut bardzo wiele mi o tobie opowiadała. Dla czego stronisz od ludzi — usiądź przy mnie. Czy kochasz muzykę?

Grał... A później mówili długo, po chwilach słowa zamieniały się na szepty. Każdy snuł nić swego minionego żywota. Kochał muzykę, lecz wyjeżdżając swe skrzypce tam zostawił. Nie mógłby być artystą w Europie: nienawidzi bowiem tego świata kłamstwa i konwenansów.

Dusze ich lgnęły do siebie. A później rzekł: wiem, że kochasz Rut i marzy mi się jakieś wielkie szczęście, lecz jest to myśl — uczucie, o którem się boję głośniej mówić.

— Nie kocham Rut — mówił Julek — miłość moją dla niej pochłonęły fale tego morza. Mówił, a w sercu czuł jakąś niepewność: czy rzeczywiście już jej nie kochał, czy nie był to jakiś inny obcy głos, który mu kazał zakłamać w sobie to uczucie? Jak cudowna zjawa stanęła przed nimi Ona.

— Dlaczego nie śpiewacie — spytała — cudowna księżycowa noc, dopiero tu na morzu — mówiła patrząc na nich — odczuwam piękno księżyca.

Siadła między nimi. A później popłynęła jej pieśń. I wkrótce zebrała się cała brać: przyszli Michael, Imanuel , Jecheskiejl, Eliezer i wszyscy, co kochali pieśń, zabrzmiały ich silne piękne głosy, a gitara wtórowała w rękach Julka. Z kajut I-ej i II-ej klasy wychodzili pasażerowie i przypatrywali się tej śpiewającej dziewczynie i tym młodzieńcom, którzy się kołem przy niej rozsiedli. Przyszedł również śniady, wysoki Arab, co bardzo kochał pieśń i którego bardzo cieka-

wiła ta kobieta wśród tylu mężczyzn. Rut zapraszała oczyma przybywających, by zasiedli do wspólnego koła. I ulitowała się jej czysta dusza nad samotnym Arabem, co stał na uboczu. Powstała i uśmiechnięta wskazała mu dłonią, by się zbliżył. On ten uśmiech i zaproszenie zrozumiał po swojemu. Roziskrzyły się jego małe oczy, przybiegł i uchwycił Rut w swe ramiona. Wszyscy się porwali z miejsc. Gitara w ręku Julka zadrżała i po chwili zawisła nad głową Araba. On zbladł i cofnął się w tył. Przepraszał ich wzrokiem i słowami, których treści nie rozumieli ale mogli się jej domyśleć. Myślał, że jest to jedna z licznych tancerek i pieśniarek, które tak łatwo można kupić w Kairze lub Aleksandrji — znaczący uśmiech Ruty zdawał mu się potwierdzać jego przypuszczenie.

Rut siedziała blada jak trup. W czysty świat jej uczuć wkradło się coś brutalnego. Pieśń ucichła. Wszyscy się rozeszli. Tylko oni trzej pozostali na pokładzie okrętu.

— — — — — — —

Odtąd była mu Rut dobrą, ukochaną siostrą, Arje zaś przyjacielem i bratem. Wo-

kół nich zogniskowała się mała grupka ludzi. Postanowili w kraju razem żyć i pracować. Noce upływały na wspólnych pogawędkach— nad ranem zasypiano. Te wspólne rozmowy i wyznania, były owym potężnym więzem, który ich spajał. Rodziła się tęsknota za wodzem: każdy szukał go w sobie, gotów go uznać w drugim. Wiedzieli, że musi w nim być moc zapału i poświęcenia, że musi on być wielki i silny, by mu mogli służyć, by ich mógł poprowadzić. Wszyscy patrzyli na Dohara. Tam w Europie była w nim taka moc zapału, która się im wszystkim udzieliła. Kochali go wszyscy, wierzyli w jego bezwzględność, wierzyli, że słowa jego kryją za sobą prawdę jego osobistego życia i czynów. Czy będzie on i tam wodzem?

— — — — — — — — — — —

Nie zapomni tego obudzenia. Takie chwile przeżywa się tylko raz w życiu — drugi raz przeżyte są już czemś innem, czemś zupełnie innem: są już wytworem realnego świata. Obudziły go trzaski na okręcie, który zawinął do portu. Na dalekim horyzoncie ukazała rozogniona kula słoneczna mały skrawek. Dniało. W kajutach zupełna cisza — na pokładzie

półmrok — małe lampki elektryczne rzucają słaby snop światła. Budzi się i czuje ciepło ciał, leżących po obydwu jego bokach. Pokrywał ich wspólny koc. Kiedy zasnął? Pomału trzeźwieje i przypomina sobie. Do późna w nocy gwarzyli. On, Arje i Rut. Gdy odeszli rozpostarł swój koc na pokładzie, leżał i wsłuchiwał się w śpiew Ruty. W ostatnich dniach Rut przestawała dlań być zagadką. Umiał już na nią spokojniej patrzeć. Gorący jego mózg ochłódł — nerwy się uspokoiły. Czuł, że żywi dla niej już tylko jakąś głębszą przyjaźń. Bywały chwile, kiedy jej nienawidził. Wówczas nazywał ją płochą, płytką, znikały siostrzane uczucia; cierpiał, że nie może jej w takich chwilach poskromić, iż nie starczą mu na to jego siły. Nie była to już Rut — siostra, ale niedobra Rut — samica, którą by tylko silny samiec mógł opanować. Bolał, że nie ma w sobie tych brutalnych samczych sił. Cierpienie jego było w tej chwili podwójne: nie widział bowiem i w Arjem siły, którąby mu zwyciężyć pozwoliła. Smutek Arjego przekonywał go o prawdziwości jego przypuszczeń.

Przypominają mu się słowa Arjego: chęć wyłącznego posiadania jednej kobiety jest

najbardziej brutalnym objawem dążenia do wyodrębnienia chińskim murem naszej prywatnej własności. (Zapalały się jego mądre, czarne oczy — czuł, a napewno i Rut wyczuwała, że uniósł się myślą w swe dalekie, wyśnione światy). Ja wam mówię Ruto i Julku: chcę, by u nas było inaczej, bo wiem, że jeśli tego nie przezwyciężymy, to nic nowego nie stworzymy. Będziemy Europą w miniaturze! Różnice ekonomiczne, socjalne — to wszystko objawy zewnętrzne brutalnego dążenia do wyłącznego posiadania kobiety. Zawsze widuję tych dwóch samców, rozjuszonych widokiem upragnionej samicy, a chciałbym ciała ich trojga ujrzeć w tym wielkim uścisku, co budzi pragnienia jakiegoś nowego rodzaju miłości. Marzy mi się takie nowe kochanie, jako jedna z podstaw naszego nowego życia.

Julek milczał. Iskrzyły się oczy Ruty. Rodziły się tam początki jakiego nowego misterjum. Silne ramię Arjego spoczęło na barkach Julka, drugiem swem ramieniem objął Rutę. Jakby na cudowny rozkaz tego tyrana nowego życia przylgnęły do siebie usta jego kochanki i przyjaciela. Te dwie istoty zda-

wały mu się zlewać w jedną całość — całował ich połączone usta z tą wielką światu nieznaną rozkoszą, która się w tej chwili rodziła na świat, jako jedna z nowo odkrytych wartości wielkiego ludzkiego szczęścia. Może w jakiemś wielkiem mieście wysokich fabrycznych kominów, tworzyły się nowe odkrycia techniczne, może gdzieś ktoś znalazł sposób bardziej udoskonalonego zbliżenia głosu lub obrazu odległych osób, może gdzieś przypięto skrzydła gigantycznym statkom napowietrznym, wypełnionym ogromnemi ciężarami i uzbrojono je w boską siłę lotu — może w jakiemś laboratorjum samotny uczony znalazł odkaźnik gruźlicy lub raka. Tu na tym wielkim okręcie, oświetlonym jasną smugą srebrnego księżyca, została objawiona światu przez te trzy istoty nowa niematerjalna wartość nieznanego rodzaju rozkoszy, niespotykanego kochania, coś, co się może raz rodzić, by znów zginąć, utrwalone w obrazie lub pieśni. Dla nich poezja ta była rzeczywistością, a tylko taka rzeczywistość jest prawdziwie godna poezji.

Misjonarze

W porze obiadowej zjawili się na podwórzu obok jadalni, dwaj starcy na osłach. Zdjęli z osłów dwie paczki z książkami i niepewnym krokiem przekroczyli progi jadalni.

Na widok kilkudziesięciu młodych ludzi, siedzących po obu stronach długich stołów, twarze ich nieco pobladły i zdradzały pewną obawę. Poznaliśmy w nich natychmiast misjonarzy.

Nie bez podstawy był ich lęk, myśleli bowiem, że spotkają się tu z takiem lekceważeniem, jak w obozach innych robotników, których zgrozą przejmowały wiadomości o polowaniu misjonarzy na dusze młodych chaluców, o tem, że chrzczą ich w Jerozolimie, a później, zaopatrzonych w znak krzyża, wytautowany na ramieniu, wysyłają do ojczystego kraju misji.

U nas przyjęto ich z należytym spokojem i powagą. Będąc pewnymi siebie zaprosiliśmy gości, zgodnie z zwyczajem palestyńskiego robotnika, do wspólnego stołu. W międzycza-

sie rozdawał Arab wśród jedzących egzemplarze „Nowego Testamentu“ i „Ewangelji“. Po obiedzie prosili, byśmy zostali przez krótki czas, że mają nam coś do powiedzenia.

Starzec z długą, siwą brodą stanął na środku sali i przemawiał. Mówił nam o Chrystusie, o sprawiedliwości i miłości ludzkiej, o państwie niebieskiem na ziemi, o zbrataniu wszystkich ludzi pod słońcem w imię Chrystusa. Później zwrócił się do nas, wychwalając czyny nasze dla których nie starczy mu słów czci i podziwu: dowiedział się o naszem życiu od zakonników z Nazaretu, którzy przejeżdżając, widzieli, jak w pocie czoła, na pół nadzy, parzeni promieniami słońca palestyńskiego, budujemy drogi, budujemy ziemię świętą, skąd światu objawiono największą Prawdę. Spodziewa się, iż zrozumiemy, że idea Chrystusa powinna wszystkich jednoczyć, że póki Żydzi nie połączą się z kościołem chrześcijańskim, nie zawita na ziemi państwo niebieskie.

Pyta się nas, czy znamy Nowy Testament i Ewangelję. Zdziwiony dowiaduje się, że tak. Proponuje dysputę. Powiadamy mu, że idea prawdy i miłości chrystusowej jest bliska na-

szemu sercu, lecz my nie identyfikujemy Chrystusa z Kościołem chrześcijańskim, który zda nam się być najmniej chrystusowym. Dajemy mu jaskrawe przykłady: jezuici i inkwizycja. Starzec czuje się w pewnych chwilach pokonanym, twarz jego kurczy się fanatycznie, z namiętnością broni się i zwalcza... samego siebie.

Jest Niemcem, wierny cesarzowi i papieżowi. Pytamy się go, czy uważa Wilhelma za wysłannika bożego. Tak — odpowiada.

— A tysiące ofiar, mordów, krew, pożoga —czyż to wszystko w imię Chrystusa?—brzmi nasze pytanie. Starzec milczy. Później przytacza poszczególne zdania z psalmów, lecz brak mu już tej pewności, czuje się zbitym. Prosi nas, byśmy czytali Nowy Testament i Ewangelję, zaprasza obecnych do siebie na Karmel. Niektórzy z pośród towarzyszy odwiedzają go od czasu do czasu, jest pilnym i pracowitym człowiekiem, do nas odnosi się z szacunkiem.

W czasie winobrania zjawił się pewnego pięknego poranku Arab na ośle, naładowanym dwiema skrzyniami winogron: podarunek od misjonarzy na Karmelu....

Od kolonisty niemieckiego, który sprzedaje nam nabiał, dowiedzieliśmy się, że misjonarze uważają nas za bractwo Chrystusowe wśród Żydów, nie wierzące w Kościół, papieża i cesarza.

Teraz było dla nas zrozumiałem, dlaczego misjonarze nie zwrócili się do żadnego z odwiedzających ich towarzyszy naszych z propozycją przyjęcia chrztu.

Zbójcy Palestyńscy

Opowiadanie o dzieciach
dla dorosłych

Prawdziwa historja o organizacji zbójców palestyńskich zwanej „Histadrut haszoddim b' Erec Israejl"

opowiedział
Chanan Neszer

W umyśle poety-szewca Elijahu rodzi się pomysł stworzenia organizacji.

Pierwsze zebranie konspiracyjne organizacji zbójców palestyńskich zostało zwołane przez jej ojca-duchowego szewca i poetę Elijahu w roku 5683.

Zapytacie napewno: dlaczego tak późno? Przyczyna bardzo prosta: nie było jeszcze przedtem członków dla tej organizacji. Bo musicie wiedzieć, że organizacja zbójców była, jest i będzie organizacją dzieci palestyńskich, a w latach do roku 5683, ilość dzieci w Palestynie była znikoma.

Możnaby śmiało przyjąć, że właśnie rok 5683, był tym pierwszym w którym do Erec-Israejl zawitała większa liczba dzieci. Zapoczątkowało tą imigrację dzieci przybycie żony poety-szewca Elijahu — „maminy“ — z trojgiem dzieci z Holandji: dwoma synkami: Eleazarem (Lazarem) i Rafaelem (Rafikiem) i jedną córeczką Rachelką.

Poeta Elijahu marzył jeszcze przed przyjazdem swoich dzieci do Palestyny o stworzeniu organizacji zbójców w Erec-Israejl. Objeżdżając różne osiedla palestyńskie szukał odpowiednich dzieci, któreby się nadawały na hersztów bandy.

W czasie tych wędrówek zwrócili szczególnie uwagę Elijahu: Gideon syn Baraca z Deganji alef i Amjehud syn szomra Jigaejla, który był jednym z członków wolnej gminy szkolnej w Tel-Chaj.

Po przybyciu Eleazara, Rachelki i Rafaela, postanowił natychmiast przystąpić do realizowania tego planu. Omówił szczegółowo projekt z Eleazarem. Pomyśleli również nad znalezieniem odpowiedniego miejsca, gdzieby się mogło odbyć pierwsze konspiracyjne zebranie hersztów bandy. Najidealniejszym punktem zbornym okazał się las w pobliżu Nahlal i dotąd też zaprosił Gideona i Amjehuda.

Kim byli hersztowie bandy?

(Krótka charakterystyka Gideona, Amjehuda i Eleazara).

Gideon miał lat dziewięć i jak wam wia-

domo, był członkiem Deganji. Uchodził za bardzo mądrego i jeszcze bardziej upartego. Do szkoły nie uczęszczał pobierając wzamian za to nauki u ojca Baraca i na zebraniach kwucy. (Deganja była kwucą — podobnie jak Lublin jest miastem). Ojciec nauczył go czytać i pisać i za każdym razem wyjaśniał mu różne niezrozumiałe dlań rzeczy i zjawiska. Pomógł mu też rozwiązać najtrudniejszą zagadkę, jaką było dla Gideona słowo: Bóg.

„Co to jest Bóg“? — zapytał raz Gideon ojca i otrzymał na to pytanie tak jasną odpowiedź, że odtąd czuł, iż naprawdę wie i rozumie kim jest Bóg.

„Widzisz — powiedział mu ojciec, — to oto zboże w polu, te drzewka w gaiku eukaliptusowym, te winogrona, których nam co roku dostarcza winnica, owe koźlątko, które urodziła „Zriza“*), — mógłbym ci wytłómaczyć i zdaje się, że ty nawet już wiesz, jak z zasianego ziarna powstaje zboże lub wyrasta drzewko eukaliptusowe, czy też winna latorośl, dlaczego drzewa rodzą owoce, a kozy

*) Imię kozy.

małe koźlątka. Wiemy o tem wszystkiem, a jednak nikt z nas żadną siłą i dzięki nijakiej mądrości nie potrafiłby z nasiona zrobić zboże lub drzewo albo sam stworzyć małe koźlątko. Tę siłę, która potrafi takie cuda tworzyć, która daje zieleń drzewom, a barwy kwiatom, która nam z niebios zsyła deszcze i daje niemi ciepło i zimno — tą nieznaną nam cudowną siłą jest B ó g."

Gideon kochał pracę. Na zebraniach w Deganji słyszał o tem, że praca na roli jest dla Żyda czemś świętem, bo Żydzi na całym świecie nie mają swej ziemi i nie są rolnikami i tylko tu w Deganji mają, to szczęście, że mogą uprawiać rolę. Gideon zrozumiał dlaczego praca jest świętą dla Żydów, bo święte jest to, czego Bóg nie każdemu użycza, a właśnie Żydom dał On tak mało możliwości pracowania na roli i dlatego stała się dla nich praca ta świętością.

Był też Gideon dumny, że jest członkiem „Hapoejl-Hacairu" („Młodego Robotnika"), bo właśnie w tej organizacji uznano pracę za świętość. O tem wszystkiem dowiedział się Gideon na zebraniach kwucy — było wiele

rzeczy, których nie rozumiał i to go nieraz bardzo smuciło.

A m j e h u d.

Amjehud był dumny z tego, że jest synem szomra. Był on chłopczykiem bardzo dzielnym. Miał dopiero osiem lat, a pędził już żwawo na ojcowym koniu. Gdy mieszkał z rodzicami w Jabniejl posłano go po raz pierwszy do szkoły. Już jednak po trzech dniach Amjehud oświadczył, że postanowił więcej nie chodzić do tej szkoły. Kiedy się go ojciec zapytał o przyczynę tego postanowienia odparł: „bo nie zamierzam się uczyć razem z synami tych „batłanów“ — kolonistów, są oni skończonymi tchórzami, a jako syn szomra nie mogę przebywać w takiem towarzystwie...“ Po krótkim czasie wyjechał Amjehud do wolnej gminy szkolnej w Tel-Chaj, gdzie mu się bardzo nauka podobała. Uczniami byli bowiem tylko synowie szomrów—mieli własny dom w pewnej odległości od osiedla, gdzie mieszkali wraz z nauczycielami. Nikt się nie mieszał do ich spraw — sami uprawiali ogród, dziewczynki gotowały jedzenie, a w nocy wyznaczali sami z pośród siebie straż. Mieli w gminie własny

sąd koleżeński, gdzie karano winnych. Z końcem każdego roku szkolnego radzili członkowie grup wraz z nauczycielami nad tem, kto zrobił należyte postępy i może przejść do wyższej grupy, komu się należy lepszy, a komu gorszy stopień, a kto wreszcie będzie musiał jeszcze raz ten sam zakres nauki powtórzyć.

Wszyscy uczniowie kochali tę szkołę, a nauczycieli uważali za swych starszych przyjaciół.

Eleazar.

Eleazar urodził się we Wiedniu, a po wyjeździe ojca do Palestyny pojechał wraz z matką do Holandji. Podobało mu się bardzo życie w Szomerji, dokąd go ojciec sprowadził z okrętu po przybyciu do Palestyny.

Dziwiło go z początku bardzo, że w Szomerji wszyscy mieszkańcy jadali w jednej wielkiej jadalni i było tu wszystko wspólne. Od pierwszego dnia prosił ojca, by mu pozwolił również pracować. Otrzymał więc mały młoteczek, wychodził do pracy na „kwiszu“ (szosie), siadał na stosie wielkich kamieni i tłukł je na małe kamyczki. Gdy wracał

w porze obiadowej z pracy zasiadał z dumą wśród jedzących, ale nie przy tym stole, gdzie jadł ojciec. Po obiedzie rzekł do ojca: naumyślnie nie siadłem przy tobie — siedząc razem z wszystkimi z dala od ciebie czułem, iż jestem bardziej członkiem tej gminy — sądzę, iż nie powinniśmy się oddzielać od innych.

Eleazar pokochał bardzo to wspólne życie. Nie miał tu jednak żadnych rówieśników, musiał się więc zabawiać z Rafaelem, który był młodszym od niego, albo ze starszymi robotnikami. Ucieszył się bardzo, gdy mu ojciec opowiedział o planie stworzenia organizacji zbójców wśród dzieci palestyńskich. Niedługo potem Eleazar wraz z Rafaelem wyjechali do Deganji, gdzie mieli pozostać tak długo, dopóki się nie nauczą hebrajskiego (mówili bowiem dotychczas tylko po niemiecku). W Deganji Eleazar zaprzyjaźnił się z Gideonem i wtajemniczył go w plan organizacji zbójców.

Wreszcie wyznaczono konspiracyjne zebranie hersztów bandy na dzień 10-go Tiszri 5683 r w lesie Nahlalu.

Pierwsza tajemnicza narada i zaprzysiężenie hersztów.

W nocy z dnia 10-go na 11-go Tiszri zebrali się hersztowie wraz z poetą-szewcem Elijahu w lesie Nahlalu. Rozpalono ognisko i przystąpiono do narady. Pierwszy zabrał głos Elijahu: „Młodzi przyjaciele. Chcę wam dziś przedstawić projekt stworzenia organizacji zbójców w Palestynie. Zbójcy, których mam na myśli, nie będą to ludzie wyrządzający drugim krzywdy. Przeciwnie tylko dobro bliźnich będzie im leżało na sercu. Dlaczego więc mają się nazywać zbójcami? — zapytacie — oto dlatego, by się wszyscy obawiali i wykonywali ich rozkazy. Musimy sobie teraz wybrać — kochani przyjaciele — jakiś bardzo szlachetny cel, który nam będzie przyświecał w naszej pracy.

Proszę, niech każdy z was wyrazi swoje zdanie i niech powie, co uważa za najszlechetniejszy cel naszej organizacji."

Wówczas powstał Gideon i rzekł:

„Uważam, że najszlachetniejszym celem byłoby, gdybyśmy sobie postanowili zabierać dzieciom, które mają za dużo różnych rzeczy

i oddawać je tym, które nic nie mają, albo mają bardzo mało. To jest najpiękniejszy czyn, jakiego zbójca może dokonać".

Myśl Gideona spodobała się wszystkim i projekt ten został jednogłośnie przyjęty.

Na temat organizacji bandy przemówił Amjehud: Po pierwsze — przyjaciele — musi nasze istnienie pozostać tajemnicą. Każdy nowowstępujący jest obowiązany zaprzysiąc milczenie nawet w najcięższej sytuacji. Naturalnie, że w pierwszym rzędzie musimy mieć tę pewność, że tu między nami niema żadnego tchórza. Dlatego proponuję, aby już dzisiaj odbył się akt przyjęcia do bandy, który będzie obowiązywał zawsze. Herszt bandy żąda od każdego członka, by się naraził na jakieś niebezpieczeństwo, gdy przetrwa tę próbę zostanie przyjęty. Chwilowo proponuję, by hersztem był Elijahu i aby on nas poddał takiemu egzaminowi, poczem wybierzemy między nami herszta.

Wszyscy zgodzili się na ten projekt poczem Elijahu przystąpił do egzaminowania przyszłych hersztów. Na pierwszy ogień poszedł Amjehud. Przedtem jednak poprosił Elijahu, by mu pozwolono pójść do Nahlalu.

Aż do jego powrotu oni pozostaną tu w lesie i aby nie wiedzieli, co się wokół nich dzieje, zawiąże im oczy. Po powrocie Elijahu zawołał: wszyscy zostają na miejscu, ze mną pójdzie tylko Amjehud!

W odległości kilkudziesięciu kroków od miejsca zebrania rzekł Elijahu do Amjehuda:

Z woli naczelnego herszta bandy zbójców musisz teraz pójść do sadu figowego w pobliżu Nahlalu. Tam na jednym z drzew zerwiesz dwadzieścia fig i schowasz je do tego oto woreczka. Później przejdziesz ulicami kolonji i będziesz składał na oknach tych domów, gdzie mieszkają dzieci, po dwie figi. Gdy się owoce wyczerpią wrócisz do nas. — Czy zrozumiałeś rozkaz? — zapytał Elijahu Amjehuda.

— Tak jest mistrzu, odpowiedział przyszły zbójca.

Wówczas zdjął mu Elijahn opaskę z oczu i Amjehud ruszył w ciemną noc, by spełnić swe trudne zadanie.

Gdy po godzinie wrócił i zawołał uradowany:

— Mistrzu, spełniłem wszystko, jak roz-

kazałeś, uścisnął mu Elijahu silnie dłoń i rzekł:

— Przeszłeś bohatersko próbę — mianuję cię pierwszym hersztem bandy zbójców palestyńskich.

W ten sposób przeszli dzielnie próbę Gideon i Eleazar. Wówczas wybrano jednogłośnie naczelnym hersztem Amjehuda.

Po tej próbie nastąpiło zaprzysiężenie hersztów. Nazajutrz wrócili Gideon do Deganji alef, a Amjehud do Tel-Chaj z postanowieniem, iż będą sobie donosili o postępach swej pracy i o nowych członkach, których pozyskali dla organizacji zbójców.

Liczba członków się powiększa.

Wróciwszy do swego osiedla każdy z hersztów począł szerzyć ideę bandy i werbować dla niej w tajemnicy nowych członków. Największe pole do działania mieli Gideon i Amjehud, gdyż żyli wśród bardzo wielu dzieci, natomiast Eleazar miał tylko w Szomerji braciszka swego i siostrzyczkę.

Gideon wróciwszy do Deganji wdawał się często w rozmowy z różnemi dziećmi i opowiadał im o wielkiej niesprawiedliwości, jaka panuje wśród dzieci w Deganji: niejedno bo-

wiem z nich ma różnych przedmiotów za dużo, a są takie, które mają za mało albo wcale nie. Czyż nie należałoby tę krzywdę usunąć? — kończył swe rozmowy Gideon. Ani on, ani też Amjehud nie wspominali w swych rozmowach o istnieniu organizacji zbójców — wszak to musiało pozostać tajemnicą — chcieli się tylko w ten sposób przekonać, które z dzieci nadają się na przyszłych zbójców. Okazało się, że rozmowy te wydały natychmiast bardzo obfity plon pięknych czynów. Mała Dianka z Tel-Chaj zabrała pewnego wieczora Szoszanie, która miała aż trzy szczoteczki do zębów, dwie i oddała je Karmeli i Zahrurze, które nie miały wcale szczoteczek do zębów. Mirjam z Deganji zabrała Sarze bombonierkę, którą jej ciotka mieszkająca w Hajfie przywiozła, a Sara zamiast rozdać cukierki między wszystkimi ukryła ją pod poduszką w łóżeczku. Wieczorem po kolacji rozdała Mirjam czekoladki z bombonierki między wszystkie dzieci, a zaczerwieniona Sara otrzymała równą część jak i wszystkie.

Rafael z Szomerji widząc pewnego razu osła, który powróciwszy z pracy głośno ryczał z głodu, wszedł do jadalni, gdzie właśnie

oślarz smacznie zajadał, zabrał mu niepostrzeżenie talerz z oliwkami i pomidorami z przed nosa i zaniósł go głodnemu osiołkowi do stajenki...

Gdy do Szomerji zawitały w gościnie dzieci Hugo Bergmana z Jerozolimy, Eleazar zapoznał nowych przyjaciół ze sposobem czynienia szlachetnych uczynków przez odbieranie tym dzieciom, które mają za dużo i oddawanie tym, co mają mało, albo wcale nie. Tak więc piękna myśl organizacji zbójców przeniosła się do Jehuda, zapuściła korzenie w Szomronie, zaciekawiła dzieci w Emek-Isreejl, rozkwitła w dolnej i górnej Galileji — ale sam fakt istnienia organizacji pozostał nadal tajemnicą. Liczba zaś członków rosła z miesiąca na miesiąc. Hersztowie bandy donosili sobie wzajemnie o postępach w swej pracy.

Na takiej cichej i owocnej agitacji minął cały rok.

Ubogie dzieci z namiotów przenoszą się do schludnych pokoików.

Dnia 10 Tiszri 5684 zwołał Amjehud ponownie zebranie hersztów bandy, przyczem zaznaczył, że każdy z nich musi się postarać,

by przybyli również i ci, których proponuje na nowych członków.

Zebrało się więc tym razem w lesie Nahlalu około 50 dzieci.

Radę hersztów zagaił Amjehud (Elijahu brał w niej udział jako członek honorowy — wszak nie był dzieckiem...) Potem odbyło się przyjęcie do organizacji, a wszyscy kandydaci okazali się godnymi miana zbójców.

Na ogólnym zebraniu zbójców postawił bardzo piękny projekt Gideon syn Baraca. Zbójcy — przemówił donośnym głosem — dziś, kiedy liczba nasza wzrosła z trzech do pięćdziesięciu członków nie zadowolimy się jakiemiś małemi czynami. Musimy rozpocząć szerszą akcję. Jak wiecie przybywa obecnie do kraju dużo nowych emigrantów z Galutu, są między nimi i liczne, a nawet bardzo liczne dzieci. Mieszkają one z rodzicami w namiotach, a teraz zbliża się zima i jak zwykle spadną wielkie deszcze. Czyż moglibyśmy przyjaciele — zbójcy pozwolić, aby te dzieci spędziły zimę w namiotach podczas gdy my mamy ciepłe pokoiki i miękkie, bielutkie i wygodne łóżeczka. Zwróćmy się więc do mieszkańców osiedli z żądaniem, by nam pozwolo-

no przyjąć dzieci z namiotów na zimę do naszych schludnych pokoików.

Przemówienie Gideona zostało przyjęte rzęsistemi oklaskami. Zbójcy wrócili do domu, pełni zapału dla myśli Gideona i każdy układał po drodze przemówienie z jakiem się zwróci do naczelnika osiedla przedstawiając mu ów projekt. We wszystkich wioskach palestyńskich zgodzili się ojcowie na spełnienie szlachetnego żądania zbójców i dziesiątki dzieci z namiotów przywędrowało do białych domków. Zbójcy szerzyli wśród nowych przybyszów szlachetne myśli ich organizacji i w ten sposób zwiększyła się ponownie liczba nowych kandydatów. Już w Tamuz tegoż roku odbyło się ponowne zebranie hersztów i przyjęto do organizacji zbójców 150 nowych członków. Tak więc liczyła już ona 200 członków i nie było najmniejszego zakątka w Palestynie, gdzieby nie można było spotkać zbójcy.

Sieroty z Ukrainy znalazły dzięki zbójcom przytułek w Erec-Israejl.

W owych czasach dochodziły do Palestyny wieści, że na Ukrainie znajduje się wielka ilość sierot żydowskich, których rodzice zgi-

nęli z rąk złych morderców — kozaków. Organizacja zbójców podjęła starania, by dzieci te sprowadzić do Palestyny. I rzeczywiście niedługo potem przybyło dzięki wysiłkom zbójców dwieście dzieci z Ukrainy do Palestyny i zamieszkały w schludnych domkach w Chefci-ba nad Morzem Sródziemnem.

W Tiszri roku 5685 liczyła już organizacja pięćset zbójców, a obecnie niema w Palestynie dziecka, któreby się nie szczyciło mianem „Szodejd" — istnienie organizacji zbójców jest jednak nadal tajemnicą!

Zapytacie teraz napewno ciekawi Czytelnicy skądże ja o tem wszystkiem wiem? Przyczyna prosta: jestem również członkiem tej organizacji. Dowiedziawszy się o tem macie prawo mnie podejrzewać, że złamałem przysięgę i zdradzam tajemnicę istnienia organizacji zbójców. Otóż nie moi kochani, o właściwej organizacji zbójców nic wam nie powiedziałem, to coście o niej czytali było zwykłą fantazją.

A jeśli któryś z was okaże się godnym, bym go przedstawił jako kandydata, to wówczas, gdy przejdzie wszystkie próby, może, może pozna całą prawdę...

Warszawa — Tiszri — 5687 r.

Tel-Chaj

Wzgórze-Życia

Tel-Chaj — Wzgórze Życia.

Gmina ludzi sprzągniętych wspólną, ciężką przeszłością palestyńskiego strażnika-szomra, ideałem wytworzenia nowego typu dzielnego Żyda w odrodzonej ojczyźnie, bólem średniowiecznych niemal katuszy, przebytych w tureckich więzieniach od których po dziś dzień poranione, posiniałe ich ciała i powyginane ich kości — uświęcona śmiercią wodza, najdzielniejszego i najwaleczniejszego z pośród junaków Tel-Chaj i Kfar Gileadi — kapitana Józefa Trumpeldora!

Tel-Chaj i Kfar Gileadi — żydowskie Zaporoże — 40 ludzi wśród dziesiątek wsi arabskich w górnej Galilei, wśród tysięcy krwiożerczych arabów i beduinów. Z bronią na ramieniu orzą ziemię — z rewolwerem u wezgłowia przesypiają noce. Ich pożycie to nie kooperatywa i nie komuna — tylko braterska wspólnota broni dawnych rycerzy. Wnukowie Makabeuszy, Bar-Kochby — godni dziedzice ich dzielności i fanatyzmu.

Dziś jęli się codziennej pracy rolnika, stworzyli dwa piękne osiedla — zamieszkali z żonami swemi, z wdowami po poległych braciach szomrach i ich

dziećmi. Przybyli do nich nowi — młodzi, co pomagają im w mozołach pracy i żyją romantyką ich bohaterskiego życia.

Nie chcą gromadzić bogactw. Cały swój trud poświęcają, by wychować nowe pokolenie młodzieży Stworzyli nowy typ szkoły, wolną gminę szkolną, gdzie nauczyciele żyją z uczniami zdala od starszych swem własnem młodzieńczem życiem.

Na Wzgórzu Życia zakwita nowe, bujne życie. Zebrały się tam te wszystkie kwiaty, które zrodziły się już w wolnej ojczyżnie, z ojców, co życie swe okupili gigantycznemi wysiłkami i niepojętemi trudami—dzieci, które dojrzewają w słońcu palestyńskiem, Spotkasz tam Arjelę, córkę Ziwa i Racheli Ziwanit, Amjehuda i Djanę dzieci Jigaejla, Razala syna Jecheskiejla Nissanowa i Tabory, Gideona syna Baraca z Deganji, Eliezera i Rafaela synów poety-szewca Elijahu i wielu, wielu innych.

Tel-Chaj, Kfar Gileadi i Deganja nad morzem Kineret: nowe pokolenie żydowskie, pieśń nowego hebrajskiego arystokratyzmu — szlachetna synteza Ducha i Siły.

SPIS RZECZY